

43

Deklamator Polski



Zbiór poezji religijnych,
narodowych i historycznych
stósownych do wygłaszania
podczas uroczystości patry-
otycznych, rodzinnych oraz
wycieczek letnich, z Joda-
niem dyalogów i sztuczek
* * teatralnych. * *

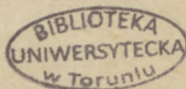


DEK
891.851

CHICAGO, ILLINOIS
Nakładem i Drukiem Polish American Publishing Company
1115 Noble Street

1 egzemplarz [br. m.] 1909 s. 149

3 nbb



1383226

202 11/101

POEZYJE RELIGIJNE.



Hymn do Boga.

(X. Woronicz.)

Nieogarniony światem, ojców naszych Boże!
Ty, który jeden nie znasz płochej wieków zmiany;
Otośmy Twych ołtarzów oblegli podnoże;
Niegdy lud Tobie miły; a teraz znikany!
Więc gdy za sobą przemówić nie śmiemy;
Pozwól, niech dawne łaski Twe wspomniemy.

Już lat tysiąc niewrotnej swej dobiega drogi,
Jako się pobracieś z ojcami naszymi;
A wyrwawszy im z rąku ciosane ich bogi,
Światem prawdy obliczem błysnąłeś tej ziemi;
I dałeś poznać wśród błędu zamieci,
Żeś ty ich ojcem, a oni Twe dzieci.

Te same świątyni szczątki, mchem porośłe siwym,
Patrzyły na Twe z ojcy naszymi przymierze;
Jak oni Cię uznawszy być Bogiem prawdziwym,
Mieli ci wiernie służyć w niepoślisznej wierze;
A Ty nawzajem przyrzekłeś łaskawie,
Im przewodniczyć w wielkości i sławie.

Ty żyjesz i żyć będziesz, choć świat upadnie!
Tyś policzył do włoska na tych głowach włosy
Nie traf ślepy, nie kolej narodami władnie;
W Twoich się rąku rodzą i czasy i losy.
Więc gdy nie możesz karać bez przyczyny,
Los nasz być musi płodem własnej winy.

Lzy nasze są świadkami błędów i poprawy;
A Ty patrzeć nie możesz na łez ludzkich zdroje,
Ni się wyprzesz Twych dzieci, Rodzicu łaskawie,
Cóż Ci zostaje? wyrzec dawne słowa Twoje:

"Kości spruchniałe! powstańcie z mogił waszych!"
"Przywdziewajcie ducha i siły!"

WYKWIADACJI
PROSIMY O
ZWROT: POLSKA YMCA
61, EATON PLACE
LONDON, S.W.1

Psalm do wszystkich świętych Patronów Polskich.

(Gabryela Żmichowska.)

Za ludem, który nigdy hufcami zbrojnemi
Dla marnych łupów obcej nie najeżdżał ziemi,
Który choć silny — słabszych nigdy nie ciemieżył,
A jak braci miłował tych, których zwyciężył;
Który miodem swych lasów, chlebem swojej roli;
Sam żył, i dla przechodniów miał zawsze do woli;
Za ludem cichej cnoty i poczciwej sprawy,
Spokojnego sumienia i chwały bezkrwawej,
Módlcie się w niebie wszyscy polscy Święci,
Rólników swoich niech Bóg ma w pamięci!

Za ludem, który całą swą powieść dziejową
Ułożył w jedną tylko wyprawę krzyżową,
Co nie grobu Chrystusa, lecz Chrystusa wiary
Strzegł pilnie przed dzikimi Turki i Tatory;
Za ludem Europy tarczą i podporą,
Co ginał pod Lignicą, Sokalem, Cecorą,
Pod Chocimem i Wiedniem, co księżyc dwurogi
Na zdeptanie dał Pannie Maryi pod nogi;
Za ludem czynnej straży od plagi pogańskiej,
Który walczył w obronie wiary chrześcijańskiej
W habicie z kutej zbroi, w kapturze z przyłbicy,
Ludem mężnego serca i dzielnej prawicy —
Módlcie się w niebie wszyscy polscy Święci,
Żołnierzy swoich niech Bóg ma w pamięci!

Za ludem, który z piękną Dziewicą Królową
Niósł Litwie Ewangielii wiekuiste słowo,
Który najpierwszy w dziejach i ostatni razem
Nie długą pracą wieków, ni władcy rozkazem,
Ale chwilą zapału, wielką chwilą — cudem
Bratnie ludy pojednał z najeźdźców ludem,
I jak w kościele wiary Sakramentu wodą,
Tak w kościele historii ochrzcił praw swobodą;
Za ludem, który krzyże wśród pogaństwa stawiął,
Za ludem, który kochał, oświecał i zbawiał,
Módlcie się w niebie wszyscy polscy Święci,
Swych apostołów niech Bóg ma w pamięci!

Za ludem, który dzisiaj nie ma pyłku ziemi
Na przybraną ojezyzną pod stopy swojemi;
Za ludem przez sąsiadów tylekroć szarpanym,
Przed stu laty zgnębionym, po dziś dzień nekany,
Za ludem biednych ojców, nieszczęśliwych matek,
Pomordowanej młodzi, i zabranych dzieciak,

Ludem, któremu wydrzeć chcą przeszłości dzieje,
Poznanie prawd obecnych, zbawienia nadzieje,
I tę ostatnią nawet pociechę w złej doli:
Cichą skargę Jeremich, pieśń smutku w niedoli.
Więc za tym krwawym cierpień i ciężkiego losu
Biednym ludem, ginącym bez skargi, bez głosu,
Módlcie się w niebie wszyscy polscy Święci,
Swych męczenników niech Bóg ma w pamięci.
Amen.

Modlitwa kmieci.

(Anczyc.)

O przenajświętszy Ojcze nasz na niebie!
Wesprzyj nas łaską Swą w każdej potrzebie,
Bo w Tobie mają ufanie biedacy,
Błogostaw pracy!

Odwracaj od nas, Boże, głód straszliwy,
A urodzajem poszczęść nasze niwy,
Niech Twój rólNIK nie zazna niedoli,
Błogostaw roli!

Nie karz nas, Panie, deszczami zbytmiernymi,
Ni zbytmiernym żarem nie wysuszaj ziemi,
Daj nam czas dobry i w zimie i w lecie,
Błogostaw kmiecie!

Niech w naszych chatach mieszka święta zgoda,
Niech je omija ogień, zła przygoda,
A daj nam poznać pożytek oświaty,
Błogostaw chaty!

Nie daj nam, Panie, upadku w oborze;
Niechaj zarazy omijają zboże,
A biednych ludzi omijają troski,
Błogostaw wioski!

Tym, co nas często ratują w potrzebie,
Dobrym dziedzicom daj pomoc od Siebie,
Złej Swą opiekę na łąki i bory,
Błogostaw dwory!

Spraw, Panie, byśmy kochali się wszyscy,
Bogaci, biedni, i wielcy i niscy,
Od nienawiści ochroń nas pobudek,
Błogostaw ludek!

Niech każdy człowiek wielbi Imię Twoje,
Do łask nam Swoich otwieraj podwoje!
Ty duszo moja od nocy do rana
Błogostaw Pana! Amen.

Hymn na dzień Zwiastowania N. M. Panny.

(Adam Mickiewicz.)

Pokłon przeczystej Rodzicy!
Nad niebiosa Twoje skronie,
Gwiazdami Twój wieniec płonie
Jehowie na prawicy.

Ninie dzień Tobie uświęcamy wierni —
Śród Twego błysnij kościoła!
Oto na ziemię złożone czoła,
Oto śród niemej bojaźnią czerni,
Powstaje prorok i woła:
Uderzam organ Twej chwale,
Lecz z bóstwa idzie godne bóstwa pienie,
Śród Twego błysnij kościoła!
I spuść anielskie wejrzenie! —
Duchy me bóstwem zapalę,
Głosu mi otwórz strumienie!

A zagrzmie piersią, jak Cherubiny
Zagrzmie światu na skonanie,
Gdy proch, zapadły w wieków otchłanie,
Ze snu nicości wybija:
Takim grzmotem twoje chluby,
Gdzie piekło, gdzie gwiazdy świeca,
Nieskończoność niech obleca,
Wieczność przeżyją!

A któż to wschodzi? Wschodzi na Syon dziewica
Jak ranek z morskiej kąpieli
I jutrznia Maryi lica;
Śnieży się obłok, słońce z ukosa
Smugiem złota po nim strzeli;
Taka na śniegu, co szaty bieli,
Powiewnego jasność włosa.

Pojrzał Jehowa i w niej upodobał sobie,
Pękły niebios zwierciadła,
Biała gołąbka spadła,
I nad Syonem w równi trzyma skrzydła obie,
I srebrzystej pierzem tęczy
Niebianki skronie uwieńczy.

Grom, błyskawica!
Stań się, stało;
Matką Dziewica,
Bóg ciało!

Hymn do Bogarodzicy.

(Słowacki.)

Waryanty podług wydania 1831 r.: "Szpieg i poeta."

Bogarodzico! Dziewico!
Słuchaj nas Matko Boża,
To ojców naszych śpiew,
Wolności błyszczący zorza,
Wolności błyszczący krzew,
Wolności bije dzwon,
Bogarodzico!
Wolnego ludu śpiew,
Zanieś przed Boga tron.

Podnieśmy głos rycerze,
Niech grzmie wolności śpiewy,
Wstrząsną się Moskwy wieże,
Wolności pieniem wzruszę
Zimne granity Newy;
I tam są ludzie, i tam mają duszę. —

Noc była. — Orzeł dwugłowy
Dumał na szczycie gmachu
I w szponach niósł okowy.
Słuchajcie, zagrzmiały śpiże,
Zagrzmiały... i ptak w przestrachu
Uleciał nad świątyni krzyże
Patrzeć na wolne narody.
Szukał cienia... I w ciemność uleciał północy.

O wstyd wam! wstyd wam Litwini,
Jeżeli w Gedymina grodzie
Odpocznie ptak zakrwawiony.
Głos cię pokoleń obwini,
Jeżeli nie skruszysz, narodzie
Krwia carów złanej korony.

Do broni, bracia! do broni!
Wolność z upodlenia toni,
Z popiołów, Fenix nowy,
Powstał lud, błogosław Panie!
Niech brzmi pieśń, jak w dzień godowy.

Bogarodzica! Dziewico!
Słuchaj nas Matko Boża,
To ojców naszych śpiew.
Wolności błyszczący zorza,
Wolności bije dzwon
I wolna płynie krew.
Bogarodzico!

Wolnego ludu krew
Zanieś przed Boga tron.

Wam się chylić przed obcemi,
Nam we własnych ufać siłach;
Będziem żyć we własnej ziemi,
Lub we własnych spać mogiłach.

Psalm dobrej woli.

(Kraśiński.)

Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie,
Z skarbu wiecznego miłościwej łaski!
Tysiącletnie dałeś panowanie,
Ubrane w śnieżne, przedchrześcijańskie blaski
Nadeuropejskiej cnoty! Twego Syna
Dałeś nam pierwszym w świeckie wpoić dzieje —
Z Polski — ojczyzna w przeszłości jedyna,
Co z piersi miłość a nie rozbój sieje;
Co mieczem tylko świat ewanieliczy,
Gardzi grabieżą — — nie garnie zdobyczy;
Spaja się z braćmi, a dumnych roztrąca,
Lecz i tych jeszcze w jawnem świetle słońca!
Teraz, gdy rozgrzmiał się już sąd Twój w niebie
Po nad lat zbiegłych dwoma tysiącami,
Daj nam, o Panie, świętymi czynami
Śród sądu tego, samych wskrzesić siebie!

Ty, co w dziejowych odmetów rozruchu
Wściekłych piorunem przybijasz do darni —
A zacnych zbawiasz — bo zacni z męczarni,
Błagamy Ciebie, Ojcze, Synu, Duchu,
Z prostotą dzieciąt, w niewieściej pokorze,
Przed Tobą dzieci i niewiasty, Boże —
A światu mężcy. My, co się nie boim
Od wieków walczyć przeciw wrogom Twoim,
Błagamy Ciebie, razem z naszą Panią,
Co za nas Twego doprasza się słuchu,
My zawieszeni pomiędzy otchłania
A Twem królestwem, Ojcze, Synu, Duchu,
Błagamy Ciebie z wrytem w ziemię czołem,
Skronią już w wiosen twych kapani dmuchu,
Czasów pryśniętych otoczeni kołem
I państw ginących — Ojcze, Synu, Duchu,

Błagamy Ciebie, stwórz w nas serce czyste —
Odnów w nas zmysły, z dusz wypień kąkole
Złud świętokradzkich — i daj wiekuiste
Śród dóbr twych dobro — daj nam dobrą wolę!
Teraz, gdy rozgrzmiał się już sąd Twój w Niebie
Po nad lat zbiegłych dwoma tysiącami
Daj nam, o Panie, świętymi czynami
Śród sądu tego, samych wskrzesić siebie!

Do Anioła Stróża.

(Lenartowicz.)

Aniele, stróżu duszy
Z pokorą błagam Cię!
Gdy mnie myśl ziemska wzruszy,
Ach, nie opuszczaj mnie!

Niech pod skrzydłami Twemi
Mych marzeń pierzchnię rój,
Ach wspieraj mię na ziemi,
Aniele, stróżu mój!

Jak błąd promyczek świeci
Twój obraz w nieba tle,
Ku Tobie duch mój leci
Aniele, stróżu mój!

Ty mi radami swemi
Pociechy zlewasz zdrój,
Ach! wspieraj mię na ziemi
Aniele, stróżu mój!

Dla Ciebie myśli moje,
I me najlepsze dni,
Gdy czuję tchnienie Twoje
Z radości serce drży.

Niech chęci moje z Twojemi
Uplotą jeden zwój,
Ach wspieraj mnie na ziemi
Aniele, stróżu mój!

O wielkości Boga.

(Jan Kochanowski.)

Czego chcesz od nas, Panie, za Twe hojne dary?
Czego za dobrodziejstwa, którym nie masz miary?

Kościół Cię nie ogarnie, wszędy pełno Ciebie,
I w otchłaniach i w morzu, na ziemi, na niebie.
Złota też, wiem, nie pragniesz, bo to wszystko Twoje,
Cokolwiek na tym świecie człowiek mieni swoje,
Wdzięcznem Cię tedy sercem, Panie! wyznawamy,
Bo nad Cię przystojniejszej ofiary nie mamy.
Tyś Pan wszystkiego świata, Tyś niebo zbudował
I złotemi gwiazdami ślicznieś uhaftował.
Tyś fundament założył nieobeszłej ziemi,
I przykryłeś jej nagość zioly rozlicznemi.
Za Twojem rozkazaniem w brzegach morze stoi,
A zamierzonych granic przekroczyć się boi,
Rzeki wód nieprzebranych wielką hojność mają,
Biały dzień a noc ciemna swoje czasy mają,
Tobie k'woli rozliczne kwiatki wiosna rodzi,
Tobie k'woli w kłosianym wieńcu lato chodzi,
Wino jesień i jabłka rozmaite dawa,
Potem do gotowego gnuśna zima wstawa.
Z Twej łaski nocna rosa na mdłe ziola padnie,
A zagorzałe zboża deszcz ożywia snadnie,
Z Twoich rąk wszelkie zwierzę patrzy swej żywności
A Ty każdego żywisz z Twej szcudrośliwości.
Bądź na wieki pochwalon, nieśmiertelny Panie!
Twoja łaska, Twa dobroć nigdy nie ustanie,
Chowaj nas, póki raczysz, na tej niskiej ziemi,
Jedno niech zawsze będziemy pod skrzydłami Twemi.

Modlitwa do Boga.

(J. Słowacki.)

We łzach, Panie, ręce podnosimy do Ciebie,
Odpuść nam nasze winy!
Niech będzie Twoja wola na ziemi i w niebie;
Przez nas czyj Twoje czyny!
Niechaj się Twoje imię na wysokościach święci,
Niech się święci trzy razy!
Abyśmy już nie byli z ksiąg żywota wyjęci
Dla naszych ran i zmazy,
Wspomnij, cośmy cierpieli pod chłostą tych mocarzy,
A ducha-śmy nie dali:
Nie poznaliby ojce naszych bolesnych twarzy,
Gdyby z grobowca wstali.
Gdyśmy cierpieli mocno, wołaliśmy do góry,
Jak gołębie: "nie ciśnij!"
Duchy, jak gołębice, rozleciały się w chmury;
Zatrwóż! niech wróca!... błysnij!

W tej błyskawicy, Panie, ujrzym się, i z daleka
Brat pozna swego brata,
I wejdzie nieśmiertelność jako Anioł w człowieka,
I będziem ludem świata!.....

Kolenda.

(Syrakomla.)

My przed Wami dziś stajem
Staroświeckim zwyczajem,
W Nowy Rok niesiem piosnkę w ofierze;
Gdy nadzieją duch rośnie,
Kolendujem radośnie,
Posłuchajcie nas szczerze.

Narodzony Syn Boży
Niech swe serce otworzy,
Kędy skarb nieprzebrany, bogaty;
Niechaj gwiazda Trzech Króli
Promieniami otuli
Wasze głowy i chaty.

Częstochowska Marya
Waszym modłom niech sprzyja,
W dobry czas niech ją prośba poruszy;
Niech się krzewią szczęśliwie
Zboża na Waszej niwie,
A cnoty w Waszej duszy.
Po nad miasta, nad wioski,
Niechaj czuwa duch Boski,
Dary łask niech rozsypie w narodzie!
Czy zabawa czy praca
Niech Wam serca obraca
Ku miłości i zgodzie.

Krówka Jaremy.

(X. I. Hołowiński.)

Wieczór się przybrał w szkarłat rumieniec,
Kiedy szedł z targu Jarema młodzieniec;
A był wesoły, wzięta go swawola
Popędzać krówkę wracającą z pola;
I tak się długo z biedną krówką bawił,
Zagnał do lasu i tam ją zostawił.

Nazajutrz rankiem powraca do miasta,
Widzi, że płacze na prodzie niewiasta;
Tknięty litością, pyta o przyczynę. —
“Ach, zwierz mi,” rzekła, “zjadł krówkę jedyń,
“Gdy się błąkała w lesie nocną porą.
“I mnie i dzieci żywiła pięcioro,
“A teraz głodem biedna z dziećmi zginę.” —
— “Jakiejże maści była twoja krowa?” —
— “Z łysiną białą sama całkiem płowa.” —
Poznał Jarema, że to on oddalił
Wczoraj na drodze napotkaną krowę:
Kamień zgryzoty na serce się zwalił,
Zamilkł, westchnąwszy i opuścił wdowę.
Przeszedł czas długi, z czasem troska mija,
Bo nowa bieda dawniejszą zabija.

W cudnowskiej puszczy zbłąkał się Jarema,
Szedł dniem, wieczorem, szedł i nocną dobą,
Nie spotkał człeka i gospody nie ma,
A las i niebo tylko ma przed sobą.
Czasami smutno drzewa zaszumiały,
Albo ptak nocny pojęczał przez chwilę,
Czasem się straszne pokusy ozwały,
Czasami było głucho jak w mogile.
Gdy tak strudzony szuka przytuliska,
Patrzy, aż zdala światło jakieś błyska;
Zbliżył się, widzi ludzi dzikiej twarzy,
Na którym w kotle jedzenie się warzy,
A na ramionach strzelba im połyska.
Chociaż pomyślał, że zbójcy być mogą,
I w sercu uczuł trochę niepokoju,
Lecz się nie lęka ubogi rozboju,
Przeto zmęczony i głodem i drogą
Przystąpił do nich w pokornej postawie,
Prosząc by nocleg mógł przepędzić z niemi:
Chętnie przyjęli, on usiadł na ziemi,
I zaproszony wziął udział w ich strawie,
A potem z trudu usnął na murawie.
Ale go nagle wrzawa ze snu budzi:
Widzi rozpierzchną swą drużynę nocną,
A siebie wpośród obcych zbrojnych ludzi,
Którzy sznurami krępują go mocno,
Bo właśnie wtedy rząd uwiadomiony,
Gdzie była banda Pawluka Watażki,
Wyprawił poczet żołnierzy w te strony,
Ale umknęły te ostrożne ptaszki;
Tylko Jarema był przyprowadzony.
Choć rzecz wyjaśnia, ale nie przekona,
Bo podejrzenie potępia go z góry:
Bito, męczono, brano na tortury,

Jego niewinność uporem ochrzczona,
Tak mu upłynął rok cały w niewoli,
Wielkie ponosił nędze i katusze.
— Boże! mój Boże! — wołał w swej niedoli,
Za cóż niewinnie biedny cierpieć muszę? —
Gdy tak w cierpieniach i skargach czas trawił,
Jakiś mu starzec we śnie się pojawił,
I łagodnemi tak przemówił słowy:
— “Za co obwiniasz o niesprawność nieba,
“Czy zapomniawszy krówkę biednej wdowy?
“Wiedz, że łyż cudze krwią odkupić trzeba;
“Bóg choć nie skory, lecz w sądzie surowy.
“Jużes dość cierpieć za krzywdę zdziałaną,
“Wrócisz swobodny do dzieci i żony.” —
Jakoż w tym czasie zbójców pochwymano,
A ich zeznaniem został uwolniony.

I my w nieszczęściach choć bez naszej winy,
Nim się uskarżać na Boga poczniemy,
Przepatrzmy przeszłe żywota godziny,
A znajdziem tam pewno krówkę Jaremy.

Wiarę ojców cześć należy.

(R. Berwiński.)

Głód, powietrze, ogień, woda
I wszelaka zła przygoda
Będzie temu, ktoby starą
Ojców swoich wzgardził wiarą!
Zwierz drapieżny do obory,
Między stada czarne mory
Wejda temu, ktoby starą
Ojców swoich wzgardził wiarą!
Chorobą się rozniemoże,
I boleści twarde łoże
Zwiąże tego, ktoby starą
Ojców swoich wzgardził wiarą!
A gdy skona, garści ziemi,
Gdzieby spoczął kośćmi swemi,
Nie dostanie, ktoby starą
Ojców swoich wzgardził wiarą!
Marnie zginie! świat rozmiacie
Prochy jego po wszym świecie;
Marnie zginie! ktoby starą
Ojców swoich wzgardził wiarą!

Szanujcie dzień święty.

(K. Brodziński.)

W obory z pola spędzajcie trzody,
Zawieście kosi na ścianie,
Młynarze dzisiaj zastawcie wody,
Niech w polu praca ustanie.

Mówił nam pleban, że już godzina
Modlitwy, co ducha wznosi;
Siostra za brata, matka za syna
W kościółku Boga niech prosi.
Gałęzie z lipy tnijcie młodzieńce,
Dzieci pospieszcie na kwiaty,
Córki w kwietnikach splatajcie wieńce,
Przywdziejcie świąteczne szaty.

Ustrojmy wrota, złociste ściany,
I żółte zapalmy świece,
Niech ołtarz będzie wstęgą ubrany,
Niech liść umai świątnice.
Usłyszam dzisiaj kazanie nowe,
Z plebanem będziem nucili,
Bo kto przed Bogiem ukorzy głowę,
Ten jej przed trwogą nie schyli.

Modlitwa za polskie dziewice.

(Władysław Bełza.)

Do Twoich świętych stóp,
O! Matko z Jasnej-góry,
Korny spełniając ślub,
Ściela się polskie córy;
I słysząc — jak głos dzwonu
Z wyniosłych buja wież,
Z nim do Twojego tronu
Wołają: — strzeż je, strzeż! —
Dziś na pokusę wszelką
Prowadzi wielu świat....
O! Boża Rodzicielko,
Skrój je pod rąbkiem szaty!
Niech o nie się rozbija
Bezsilny burzy gniew!
Twem berłem jest lilija,
Ostoń niem polny krzew.

Niech te dziewczeczki młode
Strzeże ich Anioł-Stróż,
Co rozkosz i pogodę
Do meżkich wnoszą dusz.
A Ty, na niebios chwałę,
Pod płaszcz je złoty tul,
Niech wciąż niewinne, białe,
Kwitną wśród naszych pól.

POLISH PRIVATE SCHOOL,
HILTINGBURY, TRANSIT CAMP, 72
No. CHANDLER'S FORD, HANTS

Pan Jezus chodzi po świecie.

(Asnyk.)

O! nie rozpaczaj tak dziecie,
Że nie masz ojca i matki!
Pan Jezus chodzi po świecie
I rzuwa na łąkach kwiatki.

Chodzi od wioski do wioski
I z kwiatów wianeczki związa —
Szczęśliwym uśmiech ojcowski
Do chaty rzuca i — mija.

Lecz gdy sierotkę napotka
W chacie zwałonej od gromu,
Natenczas zjawia się śladka
Twarz jego na progach domu.

I boskie wyciąga dłonie,
Aby przytulić sierotę,
Niesie jej blaski i wonie
Kwiatki niebieskie i złote.

A każdy kwiatek niebieski,
Którym Pan Jezus obdarzy,
Osusza sieroce łezki
Wejrzeniem matczynej twarzy.

I w sercu nabrzmiałem łzami
Wciąż pączki wypuszcza świeże....
Jasnemi niebios barwami
Duszę sieroty ubierze.

A każdy kwiatuśzek złoty
W przewodnią gwiazdę się zmienia,
I lśni nad czołem sieroty
Iskrą czystego natchnienia.

Choć pójdzie drogą boleści —
Choć nie zna rodzinnej strzechy —
W swych piersiach dziedzictwo mieści
Pełne niebiańskiej pociechy.

Więc nie rozpaczaj tak dziecko,
Że nie masz ojca i matki!
Pan Jezus chodzi po świecie,
I zrywa na łąkach kwiatki!

Grosz wdowi.

(Jachowicz.)

W miejscu publicznem była skarbonka przybita,
Niejeden obojętnie jej napis przeczyta:
"Ofiara dla ubogich" — potem się odwróci
I grosza nie wrzuci.

Długo, długo, próżną była,
Aż uboga kobieta pierwszy grosz wrzuciła.
Zaraz jakiś pan bogaty

Rzucił dukaty.
Mniej bogatego wzruszył wdzięk tej cnoty,
Wkłada złoty.

Znów jakiegoś przechodnia skłania ta ofiara,
Rzuca talara.

Zkądże ta hojność? Cnoty czarująca władza
Do grosza złoto sprowadza.

Dotądby może jeszcze puszka próżną stała,
Gdyby małej ofiary uboga nie dała.

Piękny przykład cuda dzieła.



II. POEZYJE PATRYOTYCZNE.



Wiersz, który każdy Polak i Polka na pamięć umieć powinni.

(Ign. Krasicki.)

Święta miłości kochanej Ojczyzny,
Czują cię tylko umysły poczciwe;
Dla ciebie zjadłe smakują trucizny,
Dla ciebie pęta, więzy niezelżywe,
Kształcisz kalectwo przez chwalebne blizny,
Gnieździsz w umyśle rozkosze prawdziwe,
Byle cię tylko można wspomódz, wspierać,
Nie żal żyć w nędzy, nie żal i umierać.

Giermek.

(Morawski.)

Smutnie w Polskiej było ziemi,
Smutne wojsko i lud smutny;
Wszystko siły przygniótł swemi,
Podbił, zajął Szwed okrutny.

W długim cieniu drzew lipowych
Spoczywały zbite szyki,
Przy ogniskach obozowych
Stały nieme wojownicy.

Gdy w tem siwym śtrojny włosom,
Którym lekki wiatr powiewał,
Wieszcz się znanym ozwał głosem,
Trącił w lutnię i tak śpiewał:

"Mile gadka dawnej treści
"Brzmi dla ucha, w serce wpływa;
"W starych czasów to powieści,
"Stara dzielność się ukrywa.

“Był czas, gdyśmy za przedmurze,
“Za tarcz ludom, światu stali;
“Był czas, gdyśmy wschodnie burze
“Piersią naszą odpierali.
“Lasem polskich dzid, narody
“Zasłaniane od podboju,
“Wynucali pieśń swobody,
“Pieśń miłości, pieśń pokoju.
“Naszym hymnem był szczepek broni,
“Trąb wojennych dzikie dźwięki,
“Wrzawa bitew — grzmot pogoni
“I rozległe rannych jęki.”
“Złoci wieczór łan Podola,
“Ciagną wojska, tabor, wozy,
“Tętnią całe lasy, pola,
“Stoją groźne dwa obozy.
“Z jednej strony sztandar wiary,
“Siwy hetman, młodzież dziarską,
“Z drugiej wściekłość, krew, pożary
“I straszliwa czerń tatarska.
“Jutro, jutro, z rannym brzaskiem
“Dzień gonitwy, dzień rozprawy,
“Słońce krwawym zaszło blaskiem,
“Bój to będzie straszny, krwawy!
“Ledwie pierwszy mrok zapada,
“Polski hetman kord przypasze,
“Z młodym giermkim na koń siada,
“I objeżdża czaty nasze.
“Jedzie — patrzy w obóz dziczy,
“Słucha gwaru, rżenia koni,
“Pyta, zważa — ogień liczy,
“I już w myśli łamie — goni.
“O, nie ciesz się wodzu stary,
“Zmienne wojny są koleje,
“Nie tak łatwo to z Tatary,
“Słuchaj! patrzaj, co się dzieje!
“Hura! hura! pędzi horda,
“Nocny napad w obóz leci,
“Giermek za broń, wódz do korda,
“Na koń! woła, na koń dzieci!

“Spieszą — biegną do swych szyków,
“Wśród nocnych pędzą cieni;
“Gdy wtem z grzmiotem nowych krzyków
“Zewsząd czernią otoczeni,
“Tną i walczą na przebicie,
“Rąbie hetman, giermek łamie;
“Całą młodość, ogień, życie
“W wojujące przelał ramie.
“I już słyszą, słyszą w dali,
“Jak nadbiega polska wiara;
“Ale już ich nie ocali,
“Już nie wyrwie z rąk Tatara.
“Wzięty giermek, hetman wzięty,
“Krzyczy, huczy, motłoch dziki,
“Bucha gniewem łan zacięty,
“Patrząc na swe niewolniki.
“Wre i zemstą ryczy srogą,
“Każe jednem skuć żelazem
“Nogę giermka z wodza nogą,
“I tak obu więzić razem.
“Smutnie wzrok ich wzniosł się, zwrócił
“Na wysokie gwiazd sklepienia;
“Ale naczóby wam nucił
“Ich boleści, ich marzenia?
“O, kto nigdy pęt nie nosił,
“Kto nie jęczał w wrogów mocy,
“Strawy swojej łą nie rosił,
“Nie przetestnił długich nocy;
“Kto w półdzikim, podłym tłumie
“Nie włócił ciężkich lat niedoli;
“Nie, nie pojmie, nie zrozumie,
“Jak jest gorzkim chleb niewoli!”
I na chwilę, marząc smutnie,
Wieszcz ucicha... łzę wylewa,
I znów nagle trąca w lutnię,
I tak dalej gra i śpiewa:
“Zasnął hetman siwobrody,
“Zasnął, jakby między swemi;
“Nie śpi, czuwa giermek młody,
“Długo o swej duma ziemi.

“I iza tryska mu z źrenicy,
“Żal i rozpacz serce tłoczy;
“Gdy wtem nagle w swej ciemnicy
“Zapomniany topór zoczy.
“Patrzy, duma, drży i marzy,
“Serce szczytnym ogniem płonie,
“Wielki w duszy zamiar waży,
“Topór w obie chwytą dłonie;
“I podnosi rękę śmiała,
“Mężnie ku swym pętom zwróci,
“Tnie, odcina nogę całą,
“I hetmana swego cuci.
“Wolnyś,” rzecze, “straż zaspana,
“Uchodź, ocal twą krainę,
“Spiesz i pobij wojsko Hana,
“Ja z radością tutaj zginę.”
“Powstał hetman i wzniosł dłonie,
“Rzewnemi się izarzami zalał,
“Zegnał, Boskiej zdał obronie,
“Ścisnął, uszedł i ocalał.
“I straż nagle z snu się zrywa,
“Wieść ucieczki wodza szerzy,
“I sam wreszcie Han przybywa,
“I za ledwie oczom wierzy.
“Długo, długo, wzrok swój wryty
“W śmiałych topi mu źrenicach,
“Stoi jakby gromem zbity,
“Po dostojnych czyta licach.
“I odpycha wszystkie straże,
“Cnota dzikość zwyciężyła;
“Każe leczyć, darzyć każe,
“I do Łachów go odsyła.
“W świetnem dworzan, wodzów gronie,
“Szkariatnemi szaty odzian,
“Siadł król Polski na swym tronie,
“Wdzięczny przed nim stanął młodzian.
“W miejscu nogi prosta kula
“Ujmując postać wspiera,
“I dwór cały się rozczuła,
“Z szmerem dziwu nań spojiera.

“I dwaj wiodą go rycerze,
“Kornie przed tron przystępuje;
“Król z wezglowia szczerbiec bierze,
“I rycerzem go pasuje. —
“Gdy wtem w pośród wodzów koła
“Hetman nogę niesie złotą;
“— Oto herb twój! — król zawoła,
“Wysłużony twoją cnotą.
“I porywa dłoń rycerza,
“Wśród okrzyków ludu wiedzie,
“I przed ołtarz Pański zmierza,
“I sam klęka z nim na przedzie.
“O blask, chwałę swych orężów,
“Korne w niebo dłonie wznosi
“I o więcej takich mężów
“Dla ojczyzny swojej prosi.”
Tu dźwięk lutni mdał, upadał,
Coraz głuchszem cichła brzmieniem;
A wieszcz w duszach śledził, badał,
Co w nich swoim wzbudził pieniem.

Garsć ziemi.

I.

On rzucił ojców zagrody,
By w świat wyruszyć nieznanym
I między obce narody
Ponieść niewoli kajdany;
Rzucił tłum bratniej drużyny
I czary łąki kwiecistej,
Wziął tylko klejnot jedyny:
Garsć czarnej ziemi ojczystej.....

II.

I płakał izarzami tęsknoty,
Rzucając pola rodzinne
I matki tkliwe pieśczęoty,
Zabawy dziecka niewinnej;
Wszystko — co w ziemi miał bratnie
Znikło w przeszłości ciernistej,
Wziął tylko klejnot ostatni:
Garsć czarnej ziemi ojczystej.....

III.

Burze mu przeszły nad głową
I nowe czucia przez duszę....
On zawsze myślą cierniową
Rozkrwawiał wspomnień katusze....
Bo kiedy w chwilach natchnienia
Biegł w marzeń świat promienisty,
Czuł w sercu ciężar kamienia —
Garść czarnej ziemi ojczystej.....

IV.

I przebył lądy i morza,
Widział świat cudów nieznanym,
Lecz siny błękit przestworza
I ciche ojców kurhany
Znów w nich tęsknotę budziły
Za rajem łąki kwiecistej,
Zkąd wziął, z najdroższej mogiły,
Garść czarnej ziemi ojczystej.....

V.

A gdy już śmierci godzina
Dni wędrownika pocięta
I zimna, obca mogiła,
W łono go swoje przyjęła;
Do grobu bratniej drużyny,
Nad brzegiem góry śnieżystej,
Dano mu klejnot jedyny —
Garść czarnej ziemi ojczystej.....

Pogrzeb Kościuszki.

(Kornel Ujejski.)

Biją razem wszystkie dzwony jak ludowe głosy,
Jęczą, kwilą, modlitwami rwą się przez niebiosy,
A nad niemi dzwon Zygmunta, żałość górująca,
Wszystkie chłonie, — a to niby ojczyzna płacząca.
W cudzych stronach na tułactwie wiódł żywot boleści
Jasnowidza nie zwabiły uwodzące wieści,
Aż dopiero teraz wraca na ojczyste łany,
Ale w trumnie! wraca w trumnie hetman ukochany.
Towarzysze już hetmana na ramionach niosą,
Chylą oczy, co żałosną zwilżyły się rosą,

Dalej pany i kapłany, wojska jeno trocha,
A hen z tyłu chmura chłopstwa — to najgłośniejsz szałochą,
Toć to dzieci są hetmańskie, szlochają jak dzieci!
W tłumie kosa ractawicka podniesiona świeci.
To ich sztandar! w koło niego tłum jęcząc, wykrzyka:
"Koso nasza, choć z daleka patrz na Naczelnika!"
Oj panowie! zróbcie miejsce, niech się zbliżą chłopci,
Niech tę trumnę miłowaną ich iza szczerą skropi,
Bo ten hetman nie hołdował pysze i potędze,
Bo on stawał w ich szeregu, chodził w ich siermiedze.

*

I na zamek między królów ponieśli hetmana,
I rozwarła się świątynia, złotem nabijana,
U jej progu stanął Kmita i "co zac on?" ryta;
Swoj! swój! świętszy od waszeci, — puszczaj mości Kmita.
Zaruszały się posągi, królowie umarli
Na kamiennych sarkofagach na dłoniach się wsparli,
I ciekawie każdy patrzy, stare sny ucisza,
I spojrzaniem wniebowziętem wita towarzysza.
Długobrody król nad innych wyżej z łoża wstaje,
I przemawia: "Ja król chłopków, rękę ci podaję,
Wždy obydwu my uczcili zapomniane sługi
I kochali lud gołębi, — ja pierwszy, ty drugi."
Już hetmana wyniesiono pod namiot rozpięty,
Gdy ozwał się słodkim głosem doń Stanisław święty:
"Snać ty o mnie zapomniałeś, o polskim patronie,
Jeźli prawda, ze krzyknałeś raz "Finis Poloniae!"
Na to hetman: "O mój ojczel! choć sercem przelekkłem
Zanurzyłem się w boleściach, tych słów nie wyrzekłem!
Raczej z mojej biednej piersi to ojczyzna wzięta,
Z czego wkrótce pieśń urosła: "Jeszcze nie zginęła!"
Przy ołtarzu arcybiskup i śpiewak Sybilli
Wznosi ręce, każda głowa na piersi się chyli,
A w dziedzińcu korni chłopci o głąz biją czołem,
Oni, co gdy kościół pełny, stoją przed kościołem.
Już skończono mszę żałosną; w chłodne ziemi tono
W miejsce gdzie król chciał spoczywać, hetmana spuszczoneo.
.....
.....

Ten co z pługiem może chodził w ubóstwie za młodul
Spoczął w króla katakombie — hetman, król narodu!
A gdy za nim drzwi zaparli, rygle zasunęli,
Chłopstwo wzniosło krzyk rozpaczny: "Och, już go zamknęli."
"Och, już wzięli Naczelnika, och, już ty nie naszy,
Ciemność sklepień, blask pożyty, serca nasze straszny;
Tobie króle towarzystwem i pany w sobolach,
Lepiej tobie z nami leżeć na zielonych polach.

Na zielonem, czystem polu, na zielonej łące
Każdy ptak by ciebie witał i słońce wschodzące,
Śród upałów twej mogiłe cień dałyby Tatry,
Z dobrą wieścią od ojczyzny latałyby wiatry.
Z białej Wisty mgła powstaje, w górze świeci słońko,
My czapkami tobie kłonię, z kosą idziem łąką,
Tybys cieszył się z jej brzęku, choć śpiący i niemy;
Cóż dopiero kiedy kosy na sztorc nabijemy!
Jeżeli Pan Bóg zagniewany skryje się na niebie,
Łatwiej znaleźć twą mogiłę, w pomoc wezwać ciebie,
Trudne pisma na nagrobkach, mało kto z nas czyta,
Dziecko wskaże na mogiłę: "A czyja to?" — spyta.
Tak lud żali się i marzy; urywane słowa
Zwolna cichną, lud w cichości jakiś zamiar knowa;
Zamknął uszy na głos świata, własnej głębi słucha
Nagle splotnął, krzyczy, biegnie — dobył iskry z ducha.
I mogiłę wnieborostą sypie lud serdeczny,
Próżna-ż ona! cóż w nią schować na spoczynek wieczny?
Kości w polskim relikwiarzu złożył wódz jasnowidz —
Lud zatroskał się i myśli..... "Hej, do Maciejowic!
Starzy ludzie pamiętają to miejsce śród błonia,
Kędy ranny i omdlały hetman upadł z konia,
Więc tę ziemię krwią przesiąknął bierzcie jak sakrament,
Złóżcie w urnę i mogiłe dajcie na fundament."
Tak zrobili. Z blaskiem rozryzy do ofiarnej pracy
Biegną pany i kapłany, chłopcy i wojacy,
Wszyscy razem, wszyscy równi, zmięszano a tłumnie,
Jak przykazał duch miłości, pracują rozumnie.
Miłość wiąże i umacnia, — praca idzie chyżej,
A krakowska cała ziemia woła: "Wyżej! wyżej!
Niech mogiła wszystkim oczom zaświeci donośnie."
I mogiła Bogu miła rośnie, rośnie, rośnie....
I urosła; już ją zewsząd widzi kraj daleki,
Każda chata na nią patrzy. Od wieku po wieki
Stać jej w straży będą Miłość i Wiara — dwie służki;
Wawel runie, a zostanie: Mogiła Kościuszki.

Katedra na Wawelu.

1.

Cisza w Wawelskiej katedrze —
Zmrok osiadł sklepień załomy,
Nikt się nie modli — nie żebrze —
Organ śpi, jak w chmurze gromy.
Wiatr tylko czasem zajęczy,
Lub ptak po szybach zabrzączy.

2.

Rzędem kolumny ponure
Jedne za drugimi dążą,
Jak dęby wzrastają w górę,
Konary w arkady wiążą;
I jak dziewica z młodzieńcem,
Łączą się sklepienia wieńcem. —

3.

Tutaj śpią króle — mocarze —
Poigrał czas z ich potęgą, —
W proch chrobre rozsypał twarze,
I pleśni opasał wstęgą;
A w ich zbutwiałej prawicy
Rdzewieje klinga szablicy.

4.

Po strunach lutni uderzę,
Z spruchniałej wzbudzę ich trumnę,
W załomki sklepień, kolumny,
Pieśń pełną, brzmiającą, rozszerzę.
Za każdym podźwiewkiem pieśni,
Zbudzą się i wstaną z pleśni! —

5.

Któż to w kamiennej zbroicy
Strzeże przysionków kościoła?
Dotknę się twardego czoła,
Niech życie błysnie w źrenicy;
Niech marmur opadnie z ciała,
W twarzy rumieniec zapała! —

6.

Ożył — i któż to? — to Kmita*)
Szerokiej Polski strażnica, —
Z pod hełmu laur mu wykwiła,
Przy boku szczęka szablica.
Idzie — krok jego tak dumny,
Ze drżą ciosowe kolumny!

*) Po prawej stronie wielkich drzwi w katedrze krakowskiej, znajduje się porfirowy posąg Piotra Kmity, zmarłego w r. 1553, — pięknej rzeźby, w postawie człowieka, chcącego ruszyć się z miejsca i postąpić. Nad głową ma napis: *Os, humerosq. Kmitae magni hospes vides quo non praestantior alter Sarmata corpore ac mente fuit.* — Był on z rodziny Kmitów ostatni.

7.

O! dalej, chodź ze mną Kmito,
Chodź ze mną, ja tobie wskażę
Wszystkie męczeństwa ołtarze,
Które krwią naszą obmyto.
Pewnie krząk naszych łańcuchów
Odbił się w krainie duchów! —

8.

Chodź ze mną — za każdym krokiem
Potrącisz ziomek szkielety,
Za każdym krokiem niestety!
Krew i łzy płyną potokiem.
Twarze twych potomków zbladły,
Grody w zwaliska zapadły. —

9.

Słyszysz jak Wisła się skarży,
Jak smutnie po skałach szumi?
Ja widzę boleść w twojej twarzy,
Daremnie ją duma tłumi.
O! nie oszczędzaj łzy jednej,
Dla naszej ojczyzny biednej!....

10.

Czy słyszysz Kmito akordy,
Odgrane na wieków rogach?
Po grodach szczykają kordy, —
Sztandary na Dniepru Progach,
Sztandary za Karpatami,
Szumią tryumfu pieśniami!

11.

To wielki polonez duchów, —
Patrz! — idą w szmatach godowych;
Z ich spojrzeń i mężkich ruchów,
Poznasz twych braci grobowych.
Odbijanego! — zagrałi
Od czarnych wód aż do Salii!

12.

To święty taniec pamiętek! —
Pomiędzy dwóch mórz granicą, —
Muzyką — wieków dziesiątek,
Miłość ojczyzny — dziewicą;
A szabla z Rodzicą Boga,
Takt daje na karkach wroga!

13.

To syny wieków dziesięciu,
To nasi wielcy przodkowie;
Znani wśród boju po cięciu,
W obradach ludu po głowie!
Patrzaj, jak w pary się wiążą,
I koło swych grobów krążą. —

14.

Na chwilę przybrali ciało,
Patrzą oczyma żawemi; —
Ziemię żalali swą chwałą,
Ich dzieciom zabrakło ziemi!
Zabrzmieli pieśnią żałoby,
W stare pokładli się groby!

15.

Z obszernej niegdyś dzielnicy
Został im Wawel — na groby!....
A wnukom — szata żałoby —
Za chaty — dach szubienicy,
Mroźne Sybiru podmuchy,
Lub złote kopalń pieluchy.

Polskiemu dziecku.

(M. Sokolnicka.)

Dziecino mała, u kolan twojej matki
Ucz się pacierza w ojczystej swej mowie,
Bo ponad tobą niewidome świadki,
Z błękitów nieba patrzą się ojcowie.

Nawet spokoju nie miałiby w niebie,
Słyszac twoe modły w języku nieznanym,
Na zawsze by się zaparli tam ciebie,
Skargę na ciebie zanieśli przed Panem.

Pamiętaj dziecię, że ty już w spuściznie,
Z samych rąk Boga klejnot ten dostała,
Czystym go oddaj matce twojej ojczyźnie,
Skonaj, nim byś go wydrzeć z serca dała.

O dziecię moje, ty na polskiej księdze
Ucz się literę składać w wolnej chwili,
Czy w strojnej szacie, czy w prostej siermiędze
Znaj język, którym dziadowie mówili.

Znaj i ukochaj! nad wszystkie piękności
Co błyszczą tobie blaskami zwoznemi,
Kochaj pamiątki minionej wielkości,
Groby twych braci i skarby twej ziemi,

Niechaj najmiłszą będzie ci zabawa
O dziejach dawnych słuchać opowieści,
O tych pokrytych nieprzebrzmiałą sławą,
O dniach wesela — chluby i boleści.

O dziecię moje, jeżeli na wieki
Miłość ojczyzny serce twe zachowa,
To mimo przeszkód jak świat ten daleki
Zabrzmie na nowo dźwięczna nasza mowa.

Reguły staropolskie.

(*Wincenty Pol.*)

Dukat — to nie kwitek!
Miodek — to napitek!
Bigos — to potrawa!
Kulig — to zabawa!

Kiedy zbrojnie — to ze szablą,
Kiedy z miną — to już z djabłą,
Kiedy strojuje — to we złocie,
Gdy pracować — to już w pocie,
Bankietować — to już szumnie,
Sejmikować — to już tłumnie.

Kiedy gardzić — to podłością,
Kiedy mówić — to z szczerością.
Gdy kto oszust — to go łaj,
Gdy poczciwy — rękę daj!

Gdy się bratać — to z równymi,
Gdy mieć litość — nad biednymi,
Gdy się modlić — to już szczerze,
Kiedy wytrwać — to w swej wierze,
Kiedy cierpieć — to wytrwale,
Kiedy kochać — to już stale.

Kiedy jeździć — to już sanna,
Kiedy szaleć — to za panną,
Gdy uczciwa — to polubić,
Gdy wzajemna — to poślubić,
Gdy rozsądna — to ją cenić,
A gdy mądra — strzeż się żenić.

Kiedy wspierać — to rodaka,
Kiedy tańczyć — krakowiaka,
Sasiadować — to spokojnie,
Gdy obdarzać — to już hojnie,
Gdy docierać — to z obcesem,
Kiedy niszczyć — to z kretesem!

Gdy wyśmiewać — to już mody,
Gdy miłować — to swobody,
Kiedy hulać — to z drugimi,
Kiedy umrzeć — to w swej ziemi,
Kiedy order — to za bliźnę,
Kiedy zginąć — za Ojczyznę.

Walka z Moskalami.

(*Z "Pana Tadeusza."*)

Znowu Dobrzyńscy z Litwą natarli w zawody,
I pomimo dawniejsze dwóch stronnictw niezgody,
Walcą jak bracia, jeden drugiego zachęca.
Dobrzyńscy widząc, jak się Podhajski wykřęca
Tuż przed szeregami jęgrów i kosą ich kraje,
Zawołali z radością: "Niech żyją Podhaje!"
Naprzód bracia Litwini, góra, góra, Litwa!"
Skołubowie zaś, widząc jak waleczny Brzytwa,
Choć ranny, leci z szablą wzniesioną do góry,
Krzyknęli: "Górami Maćki, niech żyją Mazury!"
Dodawszy wzajem serca, biegną na Moskali:
Nadaremnie ich Robak z Maćkiem wstrzymywali.

Gdy tak na rotę jęgrów uderzano z przodu,
Wojski rzuca plac boju, idzie do ogrodu.
Przy boku jego stapał ostrożny Protazy,
A Wojski mu pocichu wydawał rozkazy.

Stała w ogrodzie, prawie pod samym parkanem,
O który się opierał Ryków swym trójkranem,
Wielka, stara sernica, budowana w kratki
Z belek na krzyż wiązanych, podobna do klatki.

Ku tej sernicy Wojski z Woźnym mleczkiem idą,
Każdy zbrojny ogromnym drągiem jakby zdają;
Za nimi ochmistrzyni dąży przez konopie
I kuchcik, małe, albo bardzo silne chłopię.
Przyszedłszy, drągi wparli w wierzch słupa nadgnity,
Sami u końców wisząc, pchają z całej siły:

Jako flisy uwięzną na rapach*) wicinę
Długimi drągi z brzegu pędzą na głębinię.
Trzasnął stęp; już sernica chwije się i wali
Z brzemieniem drzew i serów na trójkąt Moskali,
Gniecie, rani, zabija; gdzie stały szeregi,
Leżą drwa, trupy, sery białe jako śniegi
Krwia i mózgiem splamione. Trójkąt w sztuki pryska,
A już w środku Kropidło grzmi, już Brzytwa błyska,
Siecie różga, od dworu wpada szlachty tłuszcza,
A Hrabia od bram jazdę na rozpierchłych puszcza.

Już tylko ośmiu jegrów z sierżantem na czele
Bronią się. Bieży Klucznik; oni stoją śmieje,
Dziewięć rur wymierzili prosto w łeb Kluczніка;
On leci na strzał, kręcąc ostrze scyzoryka.
Widzi to książd: zabięga Klucznikowi droęę,
Sam pada i podbija Gerwazemu nogę;
Upadli, właśnie kiedy pluton ognia dawał.
Ledwie otów prześwisnął, już Gerwazy wstawał,
Już wskoczył w dym, dwóm jegrom zaraz głowy zmiata.
Oni biegną dziedzińcem, Gerwazy ich torem;
Wpadają we drzwi gumna stojące otworem,
I Gerwazy do gumna na ich karkach wjechał,
Zniknął w ciemności, ale bitwy nie zaniechał:
Bo przeze drzwi jęk słyhać, wrzask i gęste razy.
Wkrótce ucichło wszystko. Wyszedł sam Gerwazy
Z mieczem krwawym.

Już szlachta odzierżyła pole,
Porozpędzanych jegrów ściga, rąbie, kole,
Ryków sam został; krzyczy, że broni nie złoży,
Bije się; gdy ku niemu podszedł Podkomorzy,
I wznosząc karabele, rzekł poważnym tonem:
"Kapitanie! nie splamisz czci twojej pardonem.
Dałeś próby rycerzu nieszczęsnę, lecz męzny,
Twojej odwagi: porzuć opór niedołęzny,
Złóż broń, nim cię naszymi szablami rozbroim:
Zachowasz życie i cześć, jesteś więźniem moim!"

Ryków Podkomorzego zwalczony powaga,
Skłonił się i oddał mu swoje szpadę naga,
Skrwawioną po rękojeść, i rzekł: "Lachy braty!
Oj, biada mnie, żem nie miał choć jednej armaty!
Dobrze mówił Suwarów: "pomnij Ryków kamrat,
Żebyś nigdy na Lachów nie chodził bez armat!

*) Rapy — progi rzeczne, nagromadzone w rzece kamienie przede
szkadzające w spławie.

Kulik.

(Juliusz Słowacki.)

Oto zapusty! dalej kulikiem
Každy wesoly a každy zbrojny,
Jedzie na wojnę jak gdyby z wojny,
Z szczękiem pałaszy, śmiechem i krzykiem.
Dalej kulika w przyjaciół chaty,
Zbudzimy śpiących, zabierzem z sobą.
Nie trzeba wdziewać balowej szaty,
Ani okrywać czoła żałobą.
Tak jak jesteśmy dalej i dalej!
A gdzie staniemy? aż nad granicą....
Gwiazdy nam świecą,
Staniemy cali.

Ha! ha! koń parska, rade nam dwory;
Nie trzaskaj z bicza, niechaj śpi licho.
Szybko po drodze tak jak upiory
Śmigajmy szybko, cicho — i cicho.
Niech sanki świszcza,
Jak błyskawica w okrąg księżycy:
Złote mgły koło,
Kagańce błyszczą.
Cha! cha! cha! jak nam wesolo.

Kto nas zobaczy, ten nie zostanie,
Z nami na nowe polecą tańce;
Mnogie hajduków świecą kagańce,
Szybkie po śniegu śmigają sanie.
A kto chce zostać, więc dobrej nocy,
Niech go nie zbudzi kogutów pianie,
Niech spi spokojnie, my bez pomocy
Tak jak jesteśmy, dalej i dalej — etc.

Stójcie tu! stójcie, oto dwór biały
I światło w oknach, dam znak, wystrzelę.
Odpowiedziały mnogie wystrzały,
Ha! dobra wróżba, wszak tu wesele.
Tu szlachta pije, wyprawia gody,
Drużby za nami! swaty za nami!
Do młodej panny, chodź panie młody.
Lecz nie patrz na nią, zalana łzami,
A lzy kobiece zmiękcza ci serce.
Wróciś! nie zwiędną ślubne kobierce,
Teraz za nami, tak z bukiętami
Tak jak jesteście.... dalej i dalej! etc.

Stójcie tu! stójcie! tu dwór szlachcica:
Dam znak, wystrzelę... nie ciszej! ciszej!
Znagła wpadniemy, nikt nie usiyszy.
Przebóg! tu pogrzeb, błyszczy gromnica....
Porozwieszane w oknach całuny
I stoi truna, a koło truny
Syn smutny w dłoniach ukrywa czoło!
Cha! cha! co robić? tu nie wesoło.
Lecz po co długie prawidła androny,
Mój panie synu, prosimy z sobą.
Daj na pacierze, zostaw na dzwony,
Zabierz przyjaciół.... Z czarną załobą
Tak jak jesteście, dalej i dalej.... etc.

Stójcie tu! stójcie! tu znakomity
Szlachcic zamieszkał, więc drzwi uchylę...
Zielonem sukniem stolik wybito
A na stoliku świecą pamfule.
Panowie szlachta! do djabła karty,
Dalej do bronii! a karty w kąty.
Niech Dej algierski, Karol dziesiąty
I delfin grają; może kto czwarty
Do gry zasiądzie i na kozery
Będzie błękitne rzucał papiery,
Które już dawniej spadły na cztery
I jeszcze spadną.... Mości panowie!
Niech w karty grają sami królowie!
A my do koni, dalej! i dalej! etc.

Stójcie tu! stójcie! tu zamek stary,
Na hasło mnogi strzał odpowiada.
Zamorskie widzę jakieś maskarky;
Panowie bracia! to maskarada.
Szaty w dziwaczne lepione wzory....
Słuchajno! słuchaj mój włoski panie,
Czy sycylijskie znasz ty nieszpory?
Znasz ty Neapol? a ty Hiszpanie,
Czy byłeś kiedy w Minny orszaku?
Nie? mniejsza o to, Włoch, Korsykanin,
Żyd, Tatar, Turek, Amerykanin,
Chodźcie tu za mną wszyscy bez braku,
Tak jak jesteście, dalej! i dalej! etc.

Stójcie tu! stójcie! nowa gościna:
Już w oknach wszelkie światło pogasto,
Dam znak, wystrzelę, — nie poco hasło,
Tu śpią, nie słyszą, nie nasza wina,
Ze sen przerywiemy.... Stukam we wrota.....
Ha! stary sługa wychodzi, świeci.

Twój pan śpi teraz? to mi to cnota!
"O nie, on nie śpi, pan mój i dzieci,
"Nim trzecie grudnia błysnęło zorze,
"Wyszli na czele zbrojnej czeredy;
"A teraz cicho, pusto we dworze,
"Wyszli na wroga, czy wróca kiedy?"
Widzicie bracia, mylą pozory;
Takiemu panu błogosław Boże.
Oby tak wszystkie zastać nam dwory!
Jedźmy więc sami, dalej! i dalej! etc.

Jakże noc pyszna, jak lecą konie!
Lecą i lecą, a z pod kopyta
Pryskają iskry, połyska błonie,
Śmigają sanki, już świta! świta!
Na niebie błędnie czoło księżycy,
Droga skończona, oto granica,
Wstrzymaj rumaka! wstrzymaj rumaka!
Noc rozwidniała.
Zagrzmiały działa....
Oto jest kulik Polaka.

Czemu, mistrzu, masz siwiznę?

(Kraśniński.)

Czemu, Mistrzu, masz siwiznę?
Stokroć młodszą mej młodości,
Boś za młodu miał ojczyznę,
A ja tylko proch jej, kości.

Czemu, Mistrzu, dotąd tleje
Zar ci w piersiach piezrównany:
Boś za młodu znał nadzieje,
A ja tylko zwątpień rany.

Z grobuś nieraz wyjrzał w górę,
Czuł już dreszcze zmartwychwstania,
Jam wciąż patrzył tylko w chłonne,
Która Boga mi przystania.

Młodość, Mistrzu, jest rzeźbiarka,
Co wykuwa żywot cały, w parko,
Choć przeminie sama szparko,
Ciós jej dłuta wieczndrważy.

Więc już zwiądem — gdyś ty dzielny,
Gdyś żył jeszcze, mru niekzemnie,
I nie będę nieśmiertelny!
Ach, szczęśliwszy ty odemnie.

WŁASNOŚĆ
POLSKIEJ YMCA
WIELKIEJ Brytanii
Nr. Inw.....
RAZIE LIKWIDACJI
ŚWIETLIY PROSIMY O
WROT: POLSKA YMCA
61, EATON PLACE
LONDON, S.W.1

Odpowiedź K. Koźmiana.

Wyniosły wieszczu! w męczeńskiej koronie
Iskrę twych ogni wrzuciłeś daremnie
Pruchno i popiół znalazła w mem tonie,
Ledwie zatlała, już zagasta we mnie.

Los i cierpienia wspólne nam są obu,
Gdy cios morderczy wydarł matce życie,
Ja płaczę, jak syn schylony do grobu,
Ty, jak od piersi oderwane dziecko.

Choć mu pokarmu obca pierś nie skąpi,
Odwraca usta jakby od trucizny,
Coż nektar matki dziecięciu zastąpi,
Więdnie bez niego — jak ty bez ojczyzny.

Ach, krzep się! duszy niech cię wspiera siła,
Osierocony, nie jesteś sierota,
Ostatnie dziecko, co matka powiła,
Jest starszych braci pieczęcią.

Jego kwilenie rzewne przypomina,
Bolesnej straty ostatki,
Tem większy urok czerpa w niem rodzina,
Im podobniejsze do matki.

Wieszczu, z twych trenów smutku i żałości
Niech uzna Polska i potomność cała,
Jakiej ta matka godna jest miłości,
Co takich synów wydała.

Do Tatrów.

(Z Pieśni Janusza.)

Odwiecznych Tatrów strażnice Piastowe
Zdawnaście znane, a wiecznie nowe!
Choć myśl i oko przy was się upaja,
Myśl i źrenica wiecznie tutaj gością!
Z wami przenigdy myśl się nie oswaja,
Jak nie oswoi się nigdy z wiecznością;
Bo nie wzięść myślą co oko zakreśli,
Ani wzięść okiem co ogarną myśli
Ani was ująć, ni duchem wyświecić;
Ni w was się wcielić, ni nad was wylecić;
Tu hardość ducha mierzy się z naturą,
I rozegrana — bo nikomu górą.....

I gdyby nie lud, co dumne te czoła
Ile przepaści oplatał ścieżkami,
I prostym zmysłem zaludnił dokoła
Ten świat w obłokach swojemi gadkami;
Gdyby nie powieść, co swemi uśmiechy
Rozjaśnia wasze ponure milczenie,
Widok ogromu byłby bez pociechy,
Bo duch pojmuje tylko ducha technienie....
A wy strażnice śniegami świecące,
Stoicie wiecznie niemo i surowo,
I dla tych ludzkich pokoleń milczące,
Odkąd w was Boże skamieniało słowo!

Gopło.

(Deotyma.)

Tysiąc wspomnień jak flota pływa w sercu mem,
Jasno mi jak przy zorzy! jak na wiosnę błogo!.....
Lecz nie jestże to złuda.... nie byłoż to snem?
Widoki tak czarowne tylko śnić się mogą!

Kiedyż jeszcze tobą zasną
O, mój śnie nad sny?
Szłam przez wody wielkie, jasne,
Przez rosy i mgły.

Szelest wodny mówi, wzrasta
W stu pokoleń szmer.....
Wśród nich widzę jak duch Piasta
Dziejów wiedzie ster.

Jego łódka wieczna chwała,
Jego wiosłem własny trud,
Jego czołem Polska cała,
Jego sercem lud!

Duch Popiela drząc zdaleka
U wieżycy strasznych bram,
Patrzy w Piasta i narzeka:
"On z narodem — a ja sam!"

I znów cichną dziejów burze,
I za duchem znika duch.....
Tylko pluszczą wodne róże,
I łabędzi btyaska puch.

Jak ta woda mnie zachwycał
Żywym mi się wzrokiem zda;
Gopło, to Polski źrenica;
Gopło, to jej iza.

Co jest Ojczyzna?

(A. z *Siecina Krasicki.*)

Co to Ojczyzna? to nasza dziedzina
Niegdyś płynąca i mlekiem i miodem:
To, o czym młode serce śnić zaczyna,
Co duszę męża swym orzeźwia chłodem!.....
Usilnych dążeń cel rzewny i miły,
To, co pociesza i to co unosi,
To, czego czasu zęby nie skruszyły,
I nad czym oko łzę miłosną rosi!.....

Co to Ojczyzna? to chata uboga,
Na której bocian przy gnieździe klekoce,
To hoży młodzian, dziewica chędogą,
W domowym sadzie płonące owoce!
Ojce poważni, co pod lipą gwarzą,
Skromna dziewoja pod rodzicy strażą;
I cnót domowych wdzięczne wychowanki:
To nasze matki, siostry i kochanki!

Co to ojczyzna? Sanu modre fale,
W których się ryba kąpie srebrnoluska,
To słowik, co swe wyśpiewuje żale,
Chyża jaskółka, co te fale muska!
To Tatry, śnieżnym błyszczące szeregiem,
Zielony Beskid i to Morskie oko,
I ukraszone rozlicznych wód biegiem,
Te rozpostarte rozłogi szeroko!

Co to ojczyzna? orzeł srebrnopióry,
Co nad Połonin unosi się szczyty,
Jesiennem słońcem ubarwione bory,
Rozkoszne knieje, omszone granity!
Powiewna brzoza, co ją wiosna stroi,
Łąka uroczem kwieciami umajona,
I ta kapliczka, co samotna stoi,
Lampą płonącą, tej niwy korona!

Co to ojczyzna? to nasze zawody,
I nasze klęski, i nasze nadzieje,
To biały gołąb: starzec siwobrody,
Co nam ubiegłe opowiada dzieje!.....

To na wyniosłej rozrzucone skale
Mężnych junaków sieroce dziedziny,
To bluszcz, co wieńczy te glazy wytrwale,
Co się przeciska między ich szczeliny.

Co to ojczyzna? stare cmentarzyska,
Kędy rodziców spoczywają kości.....
Maryacka wieża, co w oddali błyska,
To Wawel, świadek pradziadów wielkości!
Dawne mogiły, świetne bojowiska,
Słodkie pamiątki rodzinnej miłości!
Ochotna młodzież, poważna starszyna,
To jest ojczyzna!

Wisła.

(*Morawski.*)

Sarmackiej Wisły zbożopławne wody

W twarde ściawszy lody,
Cieszyła się sroga zima,
Ze je w swoich więzach trzyma.
Patrzcie, wołała, patrzcie dumne wały,

Coście w tej śmiesznej wolności bujały,

W jakich jesteście okowach!
Oto was każdy przychodzień
Depce, rąbie codzień.
f byle Kałmuk jeździ wam po głowach;

A wy cóż na to? ani mruknąć śmiecie;

Takie to was jarzmo gniecie,
Tak to zima włada!
Prawda, że jesteście niezmiernie zażarta,

Tak jej z pod Tatrów na swej urnie wsparta,
Stara Wisła odpowiada.

Nie wszędzie przecie cięży twa potęga,
Zawsze tam, zawsze pod tym twardym lodem
Śmiały i wolny nurt mój płynie spodem,

Tam twoja władza nie sięga.
Niech tylko moje słońce mi zabłyśnie,
Wkrótce ta cała przestrzeń lodów pryśnie.

Te śniegi nawet, któreś ty zuchwała

W przepaści gór tych nawiała,
Same mi kiedyś pomogą
Zrzucić twoją przemoc sroga.

Dmij więc, dmij groźnie z twemi Akwilony,
Ścinaj, krępuj nurt ścieśniony;
Spieszającej wiosny nie zatrzymasz w pędzie,
Pójdiesz, z kąd przysiała, Wisła Wisła będzie.

Przez pieśń do czynów.

(Józef B. K.)

Czy pieśń radosna już dla nas ustała?
Czyli tam cichnie, gdzie huczy nawała?
Gdzie wicher nieszczęść przytłumia strun dźwięki,
Gdzie znane tylko łyzy, rozpacz i męki?....

Dziękaj li pieśnią tętnią lutni struny,
Jakoby chciały przygłuszyć pioruny;
A wśród tych tonów brzmi marsz pogrzebowy
I słychać jęki i lament grobowy.

Lecz nie czas płakać! — w stal uderzmy czynów!....
Jedno niech żądza chwaty, ni wawrzynów
Nie wiedzie do nich — lecz powinność nasza!.....
Od jej spełnienia niech nic nie odstrasza.

Tak, drogę czynów obrać nam potrzeba,
Bo ta prowadzi do wolności nieba;
I niechaj mistrze, natchnieni od Boga,
Swą pieśnią głoszą, kędy wiedzie droga.

Niech pieśń ich wskrzesi miłość w zimnem tonie,
Niechaj w niem nowy zapał znów rozplonie,
Byśmy wytrwali na drodze cierpienia,
Póki nie ujrzym jutrenki zbawienia.

Więc zabrzmi, lutni, radosnemi tony,
I niechaj zapał, twą pieśnią wskrzeszony,
Napełni serca, dreczone zwątpieniem,
Upadające pod ofiar brzemieniem!

I niech zapragną po wiekach cierpienia
Z win ojców, z własnych błędów... odrodzenia!
Niechaj nabęda hartu, woli, siły,
Aby wy dobyć się z dziejów mogiły.

Śląk moja Ojczyzna.

(Czesław Lubiński.)

Znasz ty tę ziemię, co z swych kruszców słynie,
A lud z ubóstwa i rzadkiej prostoty?
Gdzie marny kruszec w obcych ręce płynie,
A ludek w sercu swem drogie klejnoty
Przed cudzem okiem i światem ukrywa,
By nie sięgnęła po nie ręka chciwa —
Znasz ty tę ziemię, znasz ten lud poczciwy,
Znasz przyjacielu naszych chłopków serca?
Och, znasz je może, jak ci je kłamliwy,
Jak cudzoziemczy opisał oszczerca! —

Śląko! — słowo czarującego uroku, —
Ojczyzno! — węzle uczuć tajemniczy!
Nie zdołam ni myśli dziwnego toku,
Ni też, ni uczuć burzliwej słodyczy

Dłużej przytłumić; więc niech się łyzy leją,
Myśli swobodnie sobie pobujają;
Niech słodycz i gorzyc serce koleją
Karmią, aż w radość cierpienia roztają.

Śląko! ojczyzno, kraju ulubiony,
Od cudzoziemczej głupoty wzgardzony,
Wzgardę miłością niweczają twe syny,
Kochając i wielbiąc cię nad wsze krainy.

Gdzie bystra Odra toczy swoje wody
Śród ciemnych lasów i łanów zlocistych!
Gdzie schludne domki, wesole zagrody
W dolinach i po wybrzeżach skalistych,
Jakby na kobiercu kwiaty rozsiane;
Gdzie się po polach pieśni rozlegają,
W drogim po ojcu języku śpiewane;
Gdzie w lasach dziki i łanie bujają,
I gdzie z kominów niebotycznych chmury
Dymu się wiją, płomienie buchają,
A młoty w kruszec, jakby taran w mury,
Z trzaskiem piorunu stale uderzają,
Tam moja ojczyzna, to mój Śląk kochany.

Gdzie w sercach ludu jędrne uczucie żyje
Dla polskiej niegdyś ojczyzny i matki;
Na jej wspomnienie serce żywiej bije,
Jak gdy wygnane czasem z domu dziatki.
Na przeszłość spojrzaj, jak na senne mary,

Gdzie miłość bratnia wsze serca kojarzy,
Gdzie kaźden kmiołek jest jakby na straży
Swej mowy ojcowskiej, swej świętej wiary, —
Tam moja ojczyzna, to mój Ślązk kochany.

Głos z wygnania.

(*Seweryna Duchńska.*)

Miałam ci ja nizki dworek z bielonymi ścianą,
Gdzie na gruszy poza płotem siałady bociany.

Ej! nie moje to już wrota i nie moje płoty,
Uwieńczone kwiecistymi powojów uploty.

Nie mój cichy ten ogródek, kędy wiśnie rosna,
Białym kwiatem, niby śniegiem, oblepione wiosną.

Nie moje to już ognisko, nie mój dym z komina,
Co ulatał po nad dachem, niby wstęga sina.

Ej! nie moje to zagony, kłosem falujące,
Nie złociste one jaskry na zielonej łące;

Ani stary ten kościółek, ni dzwony, co były,
Kiedy trumny rodzicielskie kładziono w mogiły.

Nie mój nawet drobny kęsek tej cmentarnej ziemi,
Choć do gruntu niegdys łzami przesiąkł sierocemi.

I nie mój ten krzyż omszały na rozstajnej drodze,
Oj! niewiele z ojcowizny zostało niebodze.

Tylko moją ta fujarka z gałazki wierzbowej,
Co wyrosła nad potokiem w pobliżu dąbrowy,

Wykarmiona pieśnią ptasząt i ziół licznych wonią,
Syta dźwięków tych pastuszych, co w powietrzu dzwonia.

Fujareczko, ty wierzbowa, mój skarbie jedyny,
Z tobą zbiegam obce wzgórze i cudze doliny;

Ty mnie wiedziesz, druchno wierna, przez ten świat szeroki,
Wydeptany od ćwierć wieku tułaczemi kroki.

Ty z Powiśla, czarodziejko, pogwarzasz mi wieści,
Przypominasz, jak w dąbrowie suchy liść szeleści;

Jak tam kwitną macierzanki, w polu maczek płonie,
Jak rozsiewa bór sosnowy w krąg żywiczne wonie.

Fujareczko, ty mój skarbie, cenniejszy nad złoto,
Ty mnie krzepisz, ty z palącą godzisz mnie tęsknotą....

Wyrzucone obie z gniazda na głuche bezdroże,
Idźmy śmiało i wołajmy: "Pomagaj nam, Boże!"

Niechaj zgnite te podmuchy, co tu z bagnisk wieją,
Nie zatrują nas, nie skłóca z wiarą i z nadzieją;

Niech piosenka, szczera, żywa, przeczysta i świeża
Z rosą płynie tam, z kąd rodem, na mych wód wybrzeża!...

Somo-Sierra.

(*Gbrecki.*)

Gdzie wąwóz Somo skałami się jeży,
Jest ciasne przejście jak na szyk rycerzy;
Tam dumny Hiszpan, siadłszy na gór szczycie,
Czekał z pioruny na wrogeg przybycie.

Z jakim loskotem w Alpejskie nadbrzeża
Wód oceanu potęga uderza,
Tak szli do szturm Frankowie zuchwali,
Lecz trzykroć biegli i trzykroć wracali.

Jak niedostępne niebo dla bogaczy,
Tak była trudną dla mężnych ta droga;
Próżne wysiłki męztwa i rozpaczy,
Najśmielsze dusze śmierć spychała sroga.

Dumne Hiszpany z gór wierzcha szczyży —
"Chodźcie tu, chodźcie, dawno was czekamy,
"Wam tu Kastyłki robią uśmiech miły,
"Wam stary Madryt otwiera swe bramy."

Wtenczas bohater, co wiódł nasze meże,
Przybiegł, gdzie polskie łniły się oreże;
W cichem milczeniu zwarte hufce stały,
Gdy on do wielkiej tak zachęcał chwały:

"Wy, co z waszemi znajome szeregi
"Egiptu piaski, Apeninu śniegi,
"Ty ze lwim sercem młodzieży nie trwoźna,
"Wam to zwyciężać, gdzie innym nie można."

Rzekł, huczą trąby, ostrz mieczów się świeci,
Przez grad kartaczy las poroców leci,
Grzmi grom po gromie i razem ustały — —
Na wierzchu szańców usiadł erzeł biały.

Smierć zdrajcy ojczyzny.

(Górecki.)

Noc była ciemna, milczenie ponure,
Łało spokojność na całą naturę —
Wtem księżyc zajaśniał mile,
Bo już zbliżały się chwile,
Kiedy duchy z nieba skrycie
Na promykach gwiazdy schodzą,
I gorzkie nędzarzy życie
Snem łagodzą.

Nad rzeki brzegiem,
Co bystrym biegiem
Toczy mętne wały,
Błyszczy gmach wspaniały.

Tam zdrajca kraju obrzydły,
Leżąc gdzie łoże złociste,
Czekał, by sen swemi skrzydły,
Przytulił serce nieczyste.

Ogień w bladawym promieniu,
Po kunsztownych lampach skryty
Pokazywał w nocnym cieniu
Dostatek zbrodnią nabyty.

Starannie przez długie lata,
Zgromadził ten zbytek złoty
Wszystkie niemal skarby świata —
Nie stawalo snu i cnoty.

Już czas żyży
W twardej spiży
Dwanaście razy brzęk zrodził,
A jeszcze sen nie przychodził.

On biegał po matych chatkach,
I przytulał tych w tej chwili,
Co kiedyś żyli w dostatkach,
A wszystko za kraj stracili.

Napróżno wyrodek podły
Wyglądał na jego przyjście —
Jak jesienne wędnał liście,
A smutki serce mu bodły.

Porzuca wyniosłe łoże,
Otwiera skrzynie zamkami warowne,
I mniema, że mu pomoże
Świetnych kamieni błyskanie kosztowne.

W tem niebo znak dało grzmotem,
Pioruny trzaśły
Ognie zagastały,
Wicher drzwi wypart z łoskotem.

Wchodzi najprzód księżyc bladej,
A za nim w ślady,
Jakaś poważna osoba —
Na niej żałoba,
Smutna postawa,
Piers krwawa.

Na takie widmo straszliwe,
Drży zdrajcy serce lekliwe!
Widzi, nie wierzy,
Włos mu się jeży,
I krzyczy: "To strachy czyje,
"Stój! bo zabiję!"

Ale postać bladej,
Nic nie odpowiada,
Idzie tylko z cicha
I wzdycha.

Wtenczas ufny w moc siarczystą,
Porwał zbrodzień broń ogniastą,
Zmierzył, przycisnął,
Ogień błysnął;
Kula krwi pragnąca
Z hukiem powietrze roztraça,
Srodek postaci przeszła
Ale ona wolnym krokiem,
Z milczeniem głębokiem,
Jeszcze bliżej przystąpiła.

Na zbrodniarza ramieniu drżącym
Wspiera się łokciem oziębiającym,
I odpoczywa.
On mdleje —
Pot leje,
I za drugą broń porywa.

Wtem ona do niego rzecze.
Głosem takim, jakim cieczce
Stodki strumyk, lutnia brzęczy,
Lub po mogiłach wiatr jęczy:
"Stój! mnie kula nie zabije,
"Na waszym świecie nie żyję.
"Synu! ty w ciemnym zamknałeś mię grobie,
"A ja przychodzę dać ratunek tobie.

“Widzę twą duszę smutkiem obciążoną —
“Chcesz spocząć, pójdziem na wieczności łono,
“Ja ci przebaczam, bo nie matki czynem
“Mścić się nad synem.”

Wtem razem wstrzęsły się gmachy,
Zadrzały dachy,
Jęka noc blada —
Przez okno wpada
Duch czarnej postaci!
I rzecze głosem zagrzmienia:
“Nie masz, nie masz przebaczenia
“Temu, co przelał krew braci.
“Pan Przedwieczny, sprawiedliwy
“Stań przed Jego sąd straszliwy.”

Tak wyrzekł, i wnet ponury
Ciało zbrodnia w łóże cisnął,
Duszę w ciemne porwał chmury —
Wiatr za nim zawył, grom błysnął.

Dom Polski.

(Józef Kościelski.)

Jest między ludem odwieczne podanie
O rzeszy karłów podziemnych i gnomów,
Co rozłożyli swoje panowanie
Pod urwiskami gór, wśród skał załomów;
I tam gdzie stopie ludzkiej niedostępna
W głąb ziemi wiedzie kręta, skalna ścieżka,
Na wielkie losy świata obojętna
Posepna rzesza ziemnych karłów mieszka.
Mieszka i strzeże skarbów; gdy na świecie
Cokolwiek przemoc zdławi i zagarnie,
I łyż, co roni uciśnione dziecko,
I sny młodzieńcze, podeptane marnie,
I dźwięki pieśni rzewnej niepojęte,
Zgłuszone gwarem cheiwej łupów tłuszczy,
I poświęcenia ciche, mężne, święte,
I myśl, co z ludzkich badań się wyłuszczy;
Wszystko, co w życia gorączkowym wrzasku,
Choć ziarna pełne, nieplodne zaginie,
Co kończyć musi, nie mając początku,
Co mogąc wieczność żyć — kona w godzinie,
To wszystko z gruzów podjawszy i zgłiszczy,
Skrzętna dłoń karłów składa w swe zasieki;
Co tam złożone, wraz światłem zabłyszczy
I już klejnotem jest po wszystkie wieki.

Więc to, co w pereł świeci rząd ujętem,
To było niegdyś łąz ludzkiego żalu;
Niezrozumiała pieśń jest tam dyamentem,
A czyn nieplodny iskrzy się w opalu.
I ani zgadłbyś, że te ametysty,
Ze te szmaragdy, topazy, rubiny,
To niegdyś ludów gościniec ciernisty,
Lub krew serdeczna, przelana bez winy!....
I skarbiec gnomów rośnie w każdej dobie,
Bo na imienia ludzkiego zakałę
Po każdej krzywdzie, po każdej żałobie,
Aż gdy się każda zapelni szczelina,
Na krzywdy miejsca zbraknie w ziemi na dnie,
Sprawiedliwości wybije godzina
I gmach bezprawia z trzaskiem się rozpadnie.
Wówczas klejnoty rozsypią się hojnie
Dla całej ziemi zdobyczą radosną,
Wieczny mir wszędzie po odwiecznej wojnie,
A ziemne karty w olbrzymów wyrosną.

Czyż polska strzecha nie z baśni pieczarą?
Do której co dnia nędzne, ziemne karty
Siły, co walce życia obumarły?
To, co zdeptane, zbrukane, zatrute,
To, co zawiędło, zanim się zrodziło,
To, co zamilkło, nim wezbrało w nutę,
To, co przestało być, ach! — zanim było;
To, co po świecie robactwem zalegiem
Zarazy trądem zaszło, albo błotem,
To wszystko pod jej świętym, cichym węgiem
Znowu na wieki staje się klejnotem.

Królowa Jadwiga.

(S. Duchńska.)

Witaj, witaj nam Krakowie, ty grodzie wspaniały,
Stary stróżu i piastunie narodowej chwały.
Z łona twego wszak wybiegła promienista zorza,
Co kraj wielki ogarnęła od morza do morza.
I któż rozłił brzask jutrzemki na ojczystym niebie?
Ty Jadwigo! ty królowo! ach! widzę ja ciebie:
Ty się modlisz, bo dzień próby straszliwy się zbliża,
A Zbawiciel odjął z cicha prawicę od krzyża.
Nad twą głową ukoroną skreślił męki znamię
I uzbroił na zapasy twe młodzieuczne ramię.

Cud! cud Boży! jakaż jasność tryska ci z oblicza.
Świętym ogniem rozgorzała twoja pierś dziewicza.

Wyzwolona z pęt, — czem dla niej te ziemskie boleści?
Patrzysz w przyszłość jasnym okiem, nie trwożą cię wieści
O kudaczu z puszczy litewskich, co twój tron podzieli!
Inne słowa tobie szepczą niebiescy anieli:
Oni w dali ukazują dusz ludzkich tysiące,
Zgrzęzłe w mętnych trzęsawiskach, przed Perkunem drzące,
Jak przez ciebie wydobycie z wiekowej pomrocy,
Piersz napoją żywą rosą, — spojrzą słońcu w oczy,
Jak w ich żyłach nowe życie krzyż cudem rozbudzi
I tę dziką trzodę leśną chrzest przemieni w ludzi.

Zrozumiałas głos anielski, córo Piastów godna, —
I ofiarną twoją czasę wnet spełniłaś do dna,
I nie czujesz jej goryczy, boś objęła wzrokiem,
Wielki obszar między Wartą a Dnieprem szerokim;
Kędy Wisła szumi biała, kędy Niemen bieży,
I ziarn przez ciebie porzuconych kiełkuje plon świeży,
I ogarnia duszę twoją radość nieskończona,
Bo na zgliszczach starych kontyn krzyż rozwarł ramiona,
Ale krótkie dni twych pasmo, już kres niedaleki
Już omdlały barki twoje, mrok padł na powieki,
Grób cię woła, już śmiertelne czujesz w żyłach dreszcze,
A nad drogą tobie Polską serce czuwa jeszcze.
Gdy małżonek u wezgłowia cały we łzach tonie,
I ostatnie z ust twych drżących dobiegły go słowa:
“Władysławie, za te skarby, tu, w murach Krakowa
Zbuduj szkolny gmach dla polskiej i litewskiej młodzi;
Niech z ogniska tego światło na kraj się rozchodzi,
Widzę, widzę, w mgłę przyszłości, jak za łaską Bożą,
Nad narodem promienistą rozpostrze się zorza!”
Pragniesz mówić, ale słowo na twych ustach kona,
I w milczeniu złoty krzyżyk przyciskasz do łona.

Ach! ta zorza rozniecona tchem twej piersi czystym,
Płonąć będzie na wiek wieków nad domem ojczystym,
Nie zgasiły jej śnieżycy ni gradowe burze,
Prastuletnie chmur tumany ona świeci w górze,
Bo co stworzy moc ofiary, na wieki trwać musi,
Tyś spełniła ją dla Polski, dla Litwy, dla Rusi,
Przez zasługi, przez łyzy twoje.... o święta królowo!
Zorza chwalały twym ludom rozbliśnie na nowo.

Syn do matki.

(Agnieszka Baranowska.)

Gdy ja dorosnę, matko moja droga,
Będziesz się synem cieszyła,
Bo miłość prawdy, cześć i wiarę w Boga
Tyś w serce moje wszczepiła.

Uczyć się będę, pracować szczerze,
Służyć krajowi w potrzebie,
Zdrowie i życie oddam w offerze!....
Tegom się uczył od ciebie.

Gdy ja dorosnę, o matko moja,
Praw świętych będę żołnierzem,
Błogosławieństwo twe, promienna zbroja,
Swym mnie ostoni puklerzem.

I pójdę walczyć mieczem ognistym
Przeciw ciemnych duchów złości,
Zasiewać będę w polu ojczystym
Ziarna wiary i miłości.

Dojrzałym mężem choć będę — kochana!
Ty mnie nazywaj dziecięciem,
Ja — jak przed Świętą — padnę na kolana,
Tęskniąc za twojem objęciem.

Głowa przed tobą ma pochylona,
Jak polne pod stopą kwiatki,
Ty ją do swego przytulisz łona,
Bo świętym jest uścisk matki.

Raławice.

(Duchńska.)

Raławickie pola nasze! wam na wieki chwała!
Tu się jedność krwią ofiarną w sercach zapisała,
Krwia potężnych i maluczkich, społem z żył pociekła,
To chrzest pierwszy narodowy, on zwycięży piekło!

Od tej doby, gdy Jan Trzeci rozgromił księżycę,
Noc zapadła, — nowym brzaskiem błysły Raławice,
Z tego brzasku prędzej, później, nad krajem ojczystym
Nasze słońko się roztoczy wieńcem promienistym!

Hej, Bartoszu nasz Głowacki! z hartowanej stali
Wykonana kosa twoja w pień wali a wali,
A gdy krzykniesz: “Za mną chłopcy!” gromada zuchwała
Siecze Moskwę — niby trawę, rzuca się na działa.

Górą nasi wróg ucieka.... noc.... trupów bez liku....
A nad nimi sierp roztoczył miesiąc na nowiku,
Zmordowane śpią szeregi.... Gdy błysło zaranie,
Z czat ustąpił wódz naczelny — w wieśniaczej sukmanie.
Raławickie pola nasze! wam na wieki chwała!
Tu się jedność krwią ofiarną w sercach zapisała.

Do Polki.

(Seweryna Duchńska.)

Pokój domowi temu, gdzie polyska
Domowych uczuć płomień niewytlony,
Kędy na straży wiernie u ogniska
Czuwa niewiasta! — O! błogosławiony
Ten próg, za którym jak w arce przymierza,
Kryje się wiara i obyczaj święty,
Gdy powódź huczy, grom z niebios uderza,
Gromy i burze on przetrwa nietknięty.

Niewiasto polska, cześć tobie i chwała!
Ty czerpiąc siłę w czystym wiary zdroju,
Wybiegniesz z arki, jak gołąbka biała,
I oneń różdżkę oliwną pokoju
Uszczkniesz i podasz twym braciom w rozterce,
I wzrosnie w drzewo ta latorośl krucha,
W liść ją zielony rozwinie twe serce,
A rdzeń jej skrzepi dzielność twego ducha. —
Och! bo ty Polko, tyś wyższa, niż one
Jerozolimy córy, iza pojone,
Gdy z łąk ojczystych nie stało im kwiatu;
One, zrzuciwszy perły i purpurę,
Siadły nad cichym brzegiem Eufratu,
Z wzrokiem utkwionym w piorunową chmurę,
I zawiesiły drżące lutnie głucho
Na wierzb konarach, aby dźwięk ich złoty
Nie budził wspomnień, nie kołł tęsknoty,
I w dniach załoby nie zabrzmiął otuchą.

Polska niewiasto! ty dźwigasz inaczej
Twój krzyż wśród ciężkich żywota zawiei,
Twa złota lira nie zmilkła w rozpacz,
Lecz z niej dobywasz błogi dźwięk nadziei,
I choć w sieroctwie pierś twa bólem pęka,
Trąca w jej struny nieskalana ręka,
A chór aniołów, wtórzając pieśni w górze,
Zgania wiszącą nad twym domem burzę.
Ty ją zażegnasz dzielnym technieniem wiary,
I plon się Boży rozrodzi w tym progu,
Na łą i trudy, prace i ofiary,
Niewiasto polska, pozdrawiam cię w Bogu!

Gdzie moja Ojczyzna?

(Światopłuk od Gdańska.)

Pytasz, gdzie Ojczyzna moja?...
Tam, gdzie w cieniu drzew odwiecznych
Pobielany domek stoi,
Gdzie się, brzęcąc, pszczołka roi,
Gdzie przeżyłem wśród serdecznych
Ludzi chwile mej młodości,
Tam jest, tam Ojczyzna moja;
Kto ją zna, ten mi zazdrości. —

Pytasz, gdzie Ojczyzna moja?...
Gdzie zielone pól kobierce
Srebrny strumyk rozgranicza,
Gdzie, ścierając pot z oblicza,
Pracowali, których serce
Moje szczerze ukochało,
Tam jest, tam Ojczyzna moja;
Z czią wspominać ją przystało.

Pytasz, gdzie Ojczyzna moja?...
Gdzie Bałtyku srebrne piany
Łączą szum swój z szeptem borów;
Podczas długich tam wieczorów
Lud Kaszubów, lud kochany
Skarzy się na losy srogie;
Tam jest, tam Ojczyzna moja,
Tam mi wszystko miłe, drogie.

Pytasz, gdzie Ojczyzna moja?...
Tam, gdzie wznosząc się w błękity
Kraży szybko białe ptaszę,
Od porohów aż po naszą
Ziemie i po Tatrów szczyty,
Gdzie lud wierny, dzielny, śmiały,
Tam jest, tam Ojczyzna moja;
Jej poświęcę żywot cały!

Pytasz, gdzie Ojczyzna moja?...
Od Alp śnieżnych za Bałkany,
Od Bałtyku do Euxynu,
Gdzie lud cnoty, serca, czynu,
Gdzie lud Słowian uciskany
Wątek życia w smutku snuje,
Tam jest, tam ojczyzna moja;
Serce me się w niej lubuje.

Kocham cię, Ojczyzno moja!
Kocham ojców dom i łany,
Kocham szczerze kraj Mestwinów,
Kraje Piastów, Gedyminów,
Kocham was, bracia Słowiany,
Kocham ziemię Asarmota!
Kochać cię Ojczyzno moja,
Obowiązek to i cnota.

Jan Trzeci Sobieski.

(Konopnicka.)

A za tego króla Jana,
Co to po łbach bił pohana,
Przyszły pośły i rozjemce!
— Ratuń królu! Gina Niemce!

Turek na nas następuje,
Szyjom naszym miecz gotuje,
Naszym wieżom księżyc w nowiu,
Naszym dziatkom — chrzest w ołowiu!

Jak dobędą Wiedeń stary
Krwawo poczną uczyć wiary,
I postawią ciężkie stopy
W samym sercu Europy.

My — siłami niemieckimi
Nie obronim naszej ziemi,
Zginieć knechty i rycerze....
Ratuń — królu — bohaterze! —

Król się porwał rozgniewany;
— Wara, krzyknął, bisurmany,
Na to słońce, co nam świeci,
Trząść z buńczuków waszych śmieci!

Miecz mi dajcie!... Hej, trębacze,
Niech otrąbion kraj obaczę!
Niech się Polska moja ruszy,
Mocnej dłoni, wielkiej duszy!

— Niech hussary skrzydła bierze,
Niech stalowe lśnią pancerze,
Niech szaulice błysną w ręku,
Luzak z koniem, koń w obłęku.

— Za trzy doby hufce ruszą,
I nie spoczne, kłnę się dusza,
Aż oczyszcze dom sąsiada
Od szarańczy, co nań spada! —

Posłyszała Polska króla;
Koń u żłobu uszy stula,
Rycerz ostrzy miecz stalowy,
— Kraju miły! bądź mi zdrowy!
Trąbią w trąby w strony świata,
Głos po polu z wiatrem lata,
Szumi Wisła niespokojna,
Bory szumią: Wojna! Wojna!....

Za trzy zorze i trzy noce,
Polska wiara Turka grzmoce,
Aż się szczerbi kosa śmierci
Na buńczukach z końskiej sierści!....

Grzmiały armaty, świszczą kule,
Z dziwem stają obce króle,
Wyciągnęli długie szyje,
Patrzą, jak to Polak bije.

Turek włosy targa w brodzie,
Król rumaka pięta bodzie....
— "Hej! na obóz! Naprzód wiara!"
Poszła koniom z nozdrzy para,

Jak wiatr leca, jak grom wala,
Dziw, że świata nie obala,
Dziw, że się utrzymać mogą,
Koń kopytem, mąż ostrogą.

"Naprzód!".... Wzięli namiot wroga.
Co miecz puścił — bije trwoga.....
A po świecie okrzyk leci:
— Niechaj żyje król Jan Trzeci!

III. PRACA I PRZEMYSŁ.



Praca.

(K. Brodziński.)

Dwie posłanki z dworu Pana
Idą ku nam zawsze z rana
Siostrami wzajem się głoszą,
Na wagach dary roznoszą;
Ta do trwogi, lub tęsknoty,
Mięsza chwałę, kruszec złoty;
Z płochości, albo obłudy,
Fortuną zowią ją ludy.

Druga skromnie między gaje,
Między pola się udaje,
W kłosistym wieńcu na czole
W ochoczem stawia się kole;
Zdrowiem, szczęściem dążąc życie,
Lubi trudy i ukrycie,
A pracy bóstwem się mieni;
Jej siostra mało ją ceni.

Do niej spieszcie ziemi dzieci,
Którym świetny los nie świeci,
Bo ona o was troskliwa,
Fortunie klucze porywa,
Napój mieni w nektar boski,
Radość budzi, tuli troski,
Kwitnące wiję wam zdrowie,
I z maku ściele wezglowie.

Jako matka ublagana,
Wiedzie córkę do młodziana,
Co niegdyś płocha, wstydliva,
Dziś śluby czyni mu tkliwa:
Tak swobodę praca rodzi,
Tak ją sama w dom przywodzi.
Bez matki zawsze jest płocha,
Z jej tylko ręki nas kocha.

Kto ku pracy ręce skłoni,
Nie uniży w dworach skroni,
Wolności bóstwo mu wszędzie,
Dni złotych pasmo uprzedzie;
Dla poddańców uprzedzenia,
W niewolnika się zamienia.
Psuć myślom skrzydeł nie daje,
Bezkarnie z prawdą przestaje.

Przeto komu kwitnie zdrowie,
Niech próżniactwu hołd wypowie,
Spiewając pieśni swobody,
Niech mija zamki i grody;
A gdziekolwiek z losem zajdzie,
W całej ziemi matkę znajdzie,
Bo praca skarbiec dziedziczny,
Którego nigdy nie zliczy.

Polski przemysł niech nam żyje.

(J. Szasdecki.)

Polski przemysł niech nam żyje,
Przemysłowi cześć!
Bo w nim dążeń dziś się kryje
Narodowych treść!

Brak przemysłu dawniej dwoił
Narodowy trud;
On pomostem, który spoił,
Z szlachtą polski lud!

Lecz nauki nam potrzeba,
By osiągnąć szczyt!
Pracą sobie skarbmę chleba,
Zapewniajmy byt!

“Więc do pracy w każdym stanie!”
Niech wciąż hasło brzmi,
Przemysł polski zmartwychwstanie,
Z nim szczęśliwsze dni.

Każdy bo z nas, który spłaci
Własnej biedy karb,
Przez to samo już bogaci
Narodowy skarb!

A więc przemysł niech nam żyje,
Przemysłowi cześć!
Bo w nim dążeń dziś się kryje
Narodowych treści!

Stanisław Staszyc.

(Wł. Zieliński.)

Gdy duch narodu słabnąć już począł,
I gmach ojczysty w gruzy się walił,
Wnet dzielny Staszyc, kiedy to zoczył,
Do wspólnej pracy serca rozpałił.
Miłość Ojczyzny to jego hasło,
Niczem niezrażon, działał wytrwale,
Chciał, by w narodzie światło nie zgasło,
By naród jaśniał w świetności chwale.

Uczył, że tylko o własnej sile
Pracować trzeba na ojców łanie,
A znów zabłysną radosne chwile....
Nie próżne będzie nasze staranie.
On to prawdziwy "Ojciec Narodu,"
Potężnym echem mówi młodzieży;
"Bierz się do pracy, pilnuj zawodu,
Bo w tobie przyszłość Ojczyzny leży!"

Dając zaś dowód, jako należy
Służyć Ojczyźnie wedle możności,
Staszyc do pióra ochoczo bieży,
Naród naucza, karci zdrożności.
Chcąc zaś polepszyć dobytek ludu,
Radzi oszczędność i skromność w domu,
Bo one niemal dokażą cudu,
A naród ujdzie nędzy i sromu!

Wszystkim życzliwy, w bratniej miłości
Czynem szlachetnym wieńczy swe skronie,
I między kmieci dzieli swe włości,
Zgodę zaleca w Ojczyzny tonie.
Takich to mężów miała Ojczyzna,
Świetne ich czyny jasno nam świecą,
Choć smutno w duszy, choć w sercu blizna,
Niechaj w nas one nadzieję niecą.....

Dalej, do pracy, rażno wesole,
Niechaj się gnuśność podła rozpryśnie,
Bo komu z trudu schmurzy się czoło:
Temu nadzieja, szczęście zabłyśnie!

Miłość i Praca.

(A. E. Odyniec.)

I gniew mnie burzy i żal mię wzrusza,
Ilećroć widzieć mi trzeba:
Jak się anielska piękność i dusza
Unuża w pracy dla chleba.

A tak dziwnego jest coś w tym razie
W owym i gniewie i bólu:
Jak gdybym świętą, com czcił w obrazie,
Ujrzał u żniwa na polu.

I w tem uczuciu zda się odśłania
Tajna przeznaczeń zawitość:
Czem tu, z Boskiego snąc powołania,
Winny być: praca i miłość!

Praca na ziemi jest z sądu Pana
Karą ludzkiego rodzaju:
Lecz mu na ulgę miłość zesłana,
By nie zapomniał o raj.

Pracą grzech ciała odkupić trzeba,
Krewkość utrzymać w pokorze,
Lecz się przez miłość tylko do nieba
Duch oczyszczony wnieść może.

I tylko miłość pracę uświęca,
Jak w pracy dla niej opieka,
Na to Bóg siłę tchnie w pierś młodzieńca,
Dziewicę w piękność obleka.

Wstyd więc młodziana trwodze próżniaczej
Co się jej rzeka opieki!
I drząc przed pracą, woli się raczej
Miłości wyrzec na wieki.

Żal was i za was, córki Adama!
Że wasza miłość i krasa
Zamiast być pracy pobudką, — sama
W ziemskich jej znojach zagasa!

Lecz jest Kto widzi, jest Kto zapłaci,
Ku niemu tylko myśl wzniesiecie!
I kto wie — żali win mężkich braci
Bóg nie odkupi w niewieście!?

Rolnik.

(Z Pieśni Janusza.)

Ludzka praca — Boża wola —
To kmieć Boży, pług i rola!
Jak po morza ziemi stało,
Pług zorał Polskę całą!
Kmieć to polski, co nim orze,
A grunt ojców nie jałowy,
A pług wierny, bo Piastowy —
Więc pomagaj wielki Boże!
Z pługa wyszła bojaźń Boga —
Bo człek sieje, a Bóg rodzi;
Przyjaźń ludzka wyszła z broga:
Bo przy chlebie człek się godzi;
A z pocziwej ojcowizny
Wyszła miłość do Ojczyzny,
Miłość światła i kościoła,
Kiedy w ulu siadła pszczoła —
Z pługa poszło miłościwe,
I co łaskę niebios nieci,
I co w dziejach jest pocziwe,
I co Polsce z Boga świeci!
Więc jak sądził Pan Bóg w wiecu,
Tak czyn ty, Boży kmiecu!
Ty się trzymaj pługa wiecznie:
Bo Bóg — ojciec, ziemia — matka!
I żywota droga gładka,
Kto na roli siadł statecznie.

Zachęta do pracy.

(Aleksander Brzostowski.)

Raźno, żwawo do roboty,
Bo nam Bóg pracować każe,
Dalej do rąk piły, młoty,
Bo już piąta na zegarze!

Dość spoczynku — bracia moi!
Jest na wszystko czas i pora,
Troski życia praca koi,
Więc pracujmy do wieczora.

Zegar siódmą gdy wybije,
"Koniec pracy!" głos zawoła,

Szum, stuk cichnie, i kto żyje
Złiera, składa sprzęt do koła.

Teraz bracie! spocznij śmiało,
Bo wytechnienia trza po znoju;
Lub przeczytaj, co się działo
W dawnych czasach, w ciszy, boju!

Lub zaśpiewaj pieśń wesołą
W towarzystwie swoich kole.
Ciesz się, wesel, póki czoło
Nie zorają troski, bole!

W końcu myśl swą wznies w niebiosy,
I spoczywaj snem spokojnie,
Aż cię zbudzą dzwonu głosy,
Jak rycerza strzał na wojnie.

A gdy przyjdzie chwila pracy,
Znow do dzieła pilnie, śmiało,
By nie rzekli: "to próźniacy."
Trza pracować, jak przystało.

Niechaj pilnik, hebel, młoty
W rękach naszych znow ożyją,
I choć skronie skropią poty,
Niech radością serca biją!

Praca i oszczędność.

(Aniela Milewska.)

Oszczędność — praca — oto są dwie rzeczy,
Których nie znali Polacy,
Skłonni z natury, raczej do szczodroty,
Niechętni do mrówczej pracy.
Brak cnót tych cennych jest główną przyczyną
Naszej niedoli dzisiejszej;
Góry i wzgórki — stają się doliną,
I kraj nasz codzień to mniejszy!
Polscy szlachcice przez tak długie czasy,
Złożywszy pracę na kmieci,
Z wrogami kraju wodzili zapasy,
Ginęli w krwawej zamieci.
A kmieć pracując nie na własnej glebie,
Zleniwał także, — niestety! —
Nie nawykł radzić sam sobie w potrzebie,
Zatracił ważne zalety:

Pracę, oszczędność, które budują
Wszelki gmach bytu na ziemi,
Przez które można na świecie panują,
I ród ich w okół się pleni.
Próżniactwo rodzi zbytki i rozpusty,
Utratę zdrowia — majątku;
Znędźnięte ciało, przytem worek pusty,
To koniec — wedle porządku
Praw wiekuiстых, co czeka próżniaka.
A więc do pracy — do pracy!
By nie dotknęła nas niedola taka,
Bądźcie oszczędni — rodacy!
Zbierajcie grosze, — wykupujcie ziemię,
Przez marnotrawców zbywaną,
Aby nam polskie nie zmarniało plemię,
By was leniami nie zwano!
Aby wnukowie nie kłęli pradziadów,
Gdy przyjdzie tułać się w świecie, —
I szukać chleba w służbie u sasiadów....
Niech kłątwa prochów nie gniecie!!!....

Życzliwe rady.

(Józef Chmielewski.)

Gdy co robisz — z Bogiem wszczynaj
A nie złorzecz, nie przeklinaj!
A w kościele — to się modlić;
By się nigdy nie upodlić —
Trwać więc zawsze w świętej wierze,
Jak ród stary niegdyś szczerze.
A choćby cię los miał chłostać,
To przy wierze trzeba zostać.
Gdy co robisz — to statecznie,
Zawsze dobrze, pożytecznie,
Byś nie doznał nigdy szkody
I nie wiedział, co zawody.
Gdy co lubisz — to już pracę,
I sumienną, rychłą pracę,
A nie krzywdę, miły bracie,
To ci dobrze będzie w chacie.
A więc pracuj, lecz uczciwie,
A gdy płacisz — to godziwie.
Jak ty robisz, tak i słudzy,
Jak ty czujesz, tak i drudzy.
Dajesz słowo — to rzetelnie,

Byś się sprawił zawsze dzielnie.
W czasie — to dwa razy dajesz,
Pewnie już to sam poznajesz.
Masz co tać — to już stale
A nie zdradzaj, bracie, weale.
Gdy się brzydzisz — to pijaństwem,
I oszustwem i cygaństwem.
Gdy ci miłe — to już zdrowie,
Bo to pierwsze każdy powie.
Kiedy kochasz — to prawdziwie,
Nie obłudnie, lub fałszywie.
Chcesz mieć mienie — bądź oględny
I nie skapy, lecz oszczędny.
Wydaj tyle, ile trzeba,
A nie żałuj drugim chleba,
Kiedy cenisz — to oświata,
Bo uczacni twoją chatę,
Byt powiększy i podeprze,
A co takie to i lepsze.
Cenną także — dobra rada,
Bo z niej często zysk nie lada.
W niej pociecha i otucha,
A więc takiej nadstaw ucha.
Szanuj starca, ubogiego,
Nie zakrywaj serca twego,
Bo Bóg z nieba czyny widzi,
On się sercem podłem brzydzi.
Gdy gość przyjdzie — przyjm do chaty
Czy on biedny lub bogaty,
Otwórz serce, uracz człeka,
Czy on z blizka lub z daleka.
Wskaż, żeś Polak, żeś tej wiary,
Co i dawniej ród nasz stary.
Nie bądź z tego nigdy próżny —
Bądź pomocny i usłużny.
Kiedy gardzisz — to zazdrością,
I lenistwem i podłością;
A kto pyszny lub chępliwy —
Toć to głupiec jest prawdziwy.
Nie bierz nigdy cudzej rzeczy:
Że to brzydko — nikt nie przeczy.
Chcesz być zacnym, miły człeku,
W jakimkolwiek jesteś wieku,
Bądźże szczerzy i otwarty,
A broń Boże nie uparty.
Odznaczaj się pięknym czynem
I bądź mężem, ojcem, synem
Dobrym, prawym jak potrzeba —
A na ziemi doznasz nieba.

Złote słowo.

(*Wincenty Pol.*)

Niech oko opatrzone, co czuwa nad światem,
Nad mrówki i pszczołki robotą,
Osypie wasz żywot owocem i kwiatem,
Niech natchnie pocziwą ochotą!
Niech praca po ziarnku dokłada do ziarnka,
Niech mierzy i liczy i waży;
A kiedy pocziwa uzbiera się miarka,
Niech miłość tą miarką szafarzy.
Wśród burzy żywota, nie wyjdzie bezpieczny,
Z tej walki, ni wielki, ni mały,
Lecz wyjdzie oględny, wytrwale stateczny,
Rozumnie serdeczny i dbały.
Więc licz się i z czasem i z groszem, i z wiekiem,
Cwicz w pracy i w meźtwie i w nocy,
Szczędź zdrowia i mienia, czcziej sojusz z człowiekiem,
A Bóg ci pomoże w robocie.



Trafiła kosa na kamień.

FRASZKA SCENICZNA W JEDNYM AKCIE.

OSOBY:

LUDWIKA, pokojowa pani Tkliwskiej,
TEODOR, służący.

Rzecz dzieje się w mieszkaniu pani Tkliwskiej.

SCENA I.

(*Scena przedstawia pokój ładnie umeblowany.*)

LUDWIKA (*sama.*)

Teraz po odjeździe mojej pani na wieś, jestem samowładną rządczynią w całym domu, nikt a nikt jak Ludwika! Nie ma teraz nikogo, ktoby mi rozkazywał, ach to pięknie! Moja pani odjeżdżając, poleciła mi, ażebym przyjechała do usług jakiegoś Teodora, który był u pana kapitana, wuja mojej pani, i którego on, odjeżdżając na Ukrainę, zostawił tu w Krakowie.... Co to może być za jeden ten pan Teodor? Nie znam ani jego samego, ani jego pana; ta akwizycya jest dla mnie wcale niepomyślną. Powiada mi moja pani, że ten Teodor z jej wujem wiele podróżował, musi być zapewne świątły, dowcipny, kto wie, może i filut!

SCENA II.

(*Teodor wchodzi po cichu i staje w głębi.*)

LUDWIKA.

Kto to może wiedzieć! może ten Teodor wkradnie się w łaski mojej pani? Strach! mój urząd pierwszej faworyty straciłby wiele na swojej świetności, a do tego mój wuj, organista z dóbr mojej pani, prosił mnie, ażebym jego syna Bartłomieja mogła wkręcić do naszego domu.

TEODOR (*na stronie.*)

Tu widzę o moją skórę chodzi.

III. PRACA I PRZEMYSŁ.



Praca.

(K. Brodziński.)

Dwie posłanki z dworu Pana
Idą ku nam zawsze z rana
Siostrami wzajem się głoszą,
Na wagach dary roznoszą;
Ta do trwogi, lub tęsknoty,
Mięsza chwałę, kruszec złoty;
Z płocności, albo obłudy,
Fortuną zowią ją ludy.

Druga skromnie między gaje,
Między pola się udaje,
W kłosistym wieńcu na czole
W ochoczem stawia sie kole;
Zdrowiem, szczęściem dążąc życie,
Lubi trudy i ukrycie,
A pracy bóstwem się mieni;
Jej siostra mało ją ceni.

Do niej spieszcie ziemi dzieci,
Którym świetny los nie świeci,
Bo ona o was troskliwa,
Fortunie klucze porywa,
Napój mieni w nektar boski,
Radość budzi, tuli troski,
Kwitnące wiję wam zdrowie,
I z maku ściele wezglowie.

Jako matka ubłagana,
Wiedzie córkę do młodziana,
Co niegdyś płocha, wstydliva,
Dziś śluby czyni mu tkliwa:
Tak swobodę praca rodzi,
Tak ją sama w dom przywodzi.
Bez matki zawsze jest płocha,
Z jej tylko ręki nas kocha.

Kto ku pracy ręce skłoni,
Nie uniży w dworach skroni,
Wolności bóstwo mu wszędzie,
Dni złotych pasmo uprzedzie;
Dla poddańców uprzedzenia,
W niewolnika się zamienia.
Psuć myślom skrzydeł nie daje,
Bezkarne z prawdą przestaje.

Przeto komu kwitnie zdrowie,
Niech próżniactwu hołd wypowie,
Śpiewając pieśni swobody,
Niech mija zamki i grody;
A gdziekolwiek z losem zajdzie,
W całej ziemi matkę znajdzie,
Bo praca skarbiec dziedziczny,
Którego nigdy nie zliczy.

Polski przemysł niech nam żyje.

(J. Szastekki.)

Polski przemysł niech nam żyje,
Przemysłowi cześć!
Bo w nim dążeń dziś się kryje
Narodowych treść!

Brak przemysłu dawniej dwoił
Narodowy trud;
On pomostem, który spoił,
Z szlachtą polski lud!

Lecz nauki nam potrzeba,
By osiągnąć szczyt!
Pracą sobie skarbmy chleba,
Zapewniajmy byt!

“Więc do pracy w każdym stanie!”
Niech wciąż hasło brzmi,
Przemysł polski zmartwychwstanie,
Z nim szczęśliwsze dni.

Każdy bo z nas, który spleci
Własnej biedy karb,
Przez to samo już bogaci
Narodowy skarb!

A więc przemysł niech nam żyje,
Przemysłowi cześć!
Bo w nim dążeń dziś się kryje
Narodowych treści!

Stanisław Staszyc.

(Wł. Zieliński.)

Gdy duch narodu słabnąć już począł,
I gmach ojczyzny w gruzy się walił,
Wnet dzielny Staszyc, kiedy to zoczył,
Do wspólnej pracy serca rozpalil.
Miłość Ojczyzny to jego hasło,
Niczem niezrażon, działał wytrwale,
Chciał, by w narodzie światło nie zgasło,
By naród jaśniał w świetności chwale.

Uczył, że tylko o własnej sile
Pracować trzeba na ojców łanie,
A znów zabłysną radosne chwile....
Nie próżne będzie nasze staranie.
On to prawdziwy "Ojciec Narodu,"
Potężnym echem mówi młodzieży;
"Bierz się do pracy, pilnuj zawodu,
Bo w tobie przyszłość Ojczyzny leży!"

Dając zaś dowód, jako należy
Służyć Ojczyźnie wedle możności,
Staszyc do pióra ochoczo bieży,
Naród naucza, karci zdrożności.
Chcąc zaś polepszyć dobytek ludu,
Radzi oszczędność i skromność w domu,
Bo one niemal dokażą cudu,
A naród ujdzie nędzy i sromu!

Wszystkim życzliwy, w bratniej miłości
Czynem szlachetnym wieńczy swe skronie,
I między kmieci dzieli swe włości,
Zgodę zaleca w Ojczyzny łonie.
Takich to mężów miała Ojczyzna,
Świetne ich czyny jasno nam świecą,
Choć smutno w duszy, choć w sercu blizna,
Niechaj w nas one nadzieję niecą.....

Dalej, do pracy, rażno wesoło,
Niechaj się gnuśność podła rozpryśnie,
Bo komu z trudu schmurzy się czoło:
Temu nadzieja, szczęście zabłyśnie!

Miłość i Praca.

(A. E. Odyniec.)

I gniew mnie burzy i żal mię wzrusza,
Ileż widzieć mi trzeba:
Jak się anielska piękność i dusza
Unuża w pracy dla chleba.

A tak dziwnego jest coś w tym razie
W owym i gniewie i bólu:
Jak gdybym świętą, com czcił w obrazie,
Ujrzał u żniwa na polu.

I w tem uczuciu zda się odsłania
Tajna przeznaczeń zawitość:
Czem tu, z Boskiego snąc powołania,
Winy być: praca i miłość!

Praca na ziemi jest z sądu Pana
Karą ludzkiego rodzaju:
Lecz mu na ulgę miłość zesłana,
By nie zapomniał o raj.

Pracą grzech ciała odkupić trzeba,
Krewkość utrzymać w pokorze,
Lecz się przez miłość tylko do nieba
Duch oczyszczony wnieść może.

I tylko miłość pracę uświęca,
Jak w pracy dla niej opieka,
Na to Bóg siłę technię w pierś młodzieńca,
Dziewicę w piękność obleka.

Wstyd więc młodziana trwodze próżniaczej
Co się jej rzeka opieki!
I drząc przed pracą, woli się raczej
Miłości wyrzec na wieki.

Żal was i za was, córki Adama!
Że wasza miłość i krasa
Zamiast być pracy pobudką, — sama
W ziemskich jej znojach zagasa!

Lecz jest Kto widzi, jest Kto zapłaci,
Ku niemu tylko myśl wnieście!
I kto wie — załi win męzkich braci
Bóg nie odkupi w niewieście!?

Rolnik.

(Z Pieśni Janusza.)

Ludzka praca — Boża wola —
To kmieć Boży, pług i rola!
Jak po morza ziemi stało,
Pług zorał Polskę całą!
Kmieć to polski, co nim orze,
A grunt ojców nie jałowy,
A pług wierny, bo Piastowy —
Więc pomagaj wielki Boże!
Z pługa wyszła bojaźń Boga —
Bo człek sieje, a Bóg rodzi;
Przyjaźń ludzka wyszła z broga:
Bo przy chlebie człek się godzi;
A z pocziwej ojcowizny
Wyszła miłość do Ojczyzny,
Miłość światła i kościoła,
Kiedy w ulu siadła pszczoła —
Z pługa poszło miłościwe,
I co łaskę niebios nieci,
I co w dziejach jest pocziwe,
I co Polsce z Boga świeci!
Więc jak sądził Pan Bóg w wiecu,
Tako czyn ty, Boży kmiecu!
Ty się trzymaj pługa wiecznie:
Bo Bóg — ojciec, ziemia — matka!
I żywota droga gładka,
Kto na roli siadł statecznie.

Zachęta do pracy.

(Aleksander Brzostowski.)

Raźno, żwawo do roboty,
Bo nam Bóg pracować każe,
Dalej do rąk piły, młoty,
Bo już piąta na zegarze!

Dość spoczynku — bracia moi!
Jest na wszystko czas i pora,
Troski życia praca koi,
Więc pracujmy do wieczora.

Zegar siódma gdy wybije,
"Koniec pracy!" głos zawoła,

Szum, stuk cichnie, i kto żyje
Złiera, składa sprzęt do koła.

Teraz brać! spoczniej śmiało,
Bo wytchnienia trza po znoju;
Lub przeczytaj, co się działo
W dawnych czasach, w ciszy, boju!

Lub zaśpiewaj pieśń wesolą
W towarzyszy swoich kole.
Ciesz się, wesel, póki czoło
Nie zorają troski, bole!

W końcu myśl swą wznies w niebiosy,
I spoczywaj snem spokojnie,
Aż cię zbudzą dzwonu głosy,
Jak rycerza strzał na wojnie.

A gdy przyjdzie chwila pracy,
Znów do dzieła pilnie, śmiało,
By nie rzekli: "to próżniacy."
Trza pracować, jak przystało.

Niechaj pilnik, hebel, młoty
W rękach naszych znów ożyją,
I choć skronie skropią poty,
Niech radością serca biją!

Praca i oszczędność.

(Aniela Milewska.)

Oszczędność — praca — oto są dwie rzeczy,
Których nie znali Polacy,
Skłonni z natury, raczej do szkodoty,
Niechętni do mrówczej pracy.
Brak cnót tych cennych jest główną przyczyną
Naszej niedoli dzisiejszej;
Góry i wzgórki — stają się doliną,
I kraj nasz codzień to mniejszy!
Polscy szlachcice przez tak długie czasy,
Złożywszy pracę na kmieci,
Z wrogami kraju wodzili zapasy,
Ginęli w krwawej zamieci.
A kmieć pracując nie na własnej glebie,
Zleniwił także, — niestety! —
Nie nawykł radzić sam sobie w potrzebie,
Zatracił ważne zalety:

Pracę, oszczędność, które budują
Wszelki gmach bytu na ziemi,
Przez które możni na świecie panują,
I ród ich w okół się pełni.
Próżniactwo rodzi zbytki i rozpusty,
Utratę zdrowia — majątku;
Znędznięte ciało, przytem worek pusty,
To koniec — wedle porządku
Praw wiekuistych, co czeka próżniaka.
A więc do pracy — do pracy!
By nie dotknęła nas niedola taka,
Bądźcie oszczędni — rodacy!
Zbierajcie grosze, — wykupujcie ziemię,
Przez marnotrawców zbywana,
Aby nam polskie nie zmarniało plemię,
By was leniami nie zwano!
Aby wnukowie nie klęli pradziadów,
Gdy przyjdzie tulać się w świecie, —
I szukać chleba w służbie u sąsiadów....
Niech klątwa prochów nie gniecie!!!....

Zycziwe rady.

(Józef Chmielewski.)

Gdy co robisz — z Bogiem wszczynaj
A nie złorzecz, nie przeklinaj!
A w kościele — to się modlić;
By się nigdy nie upodlić —
Trwać więc zawsze w świętej wierze,
Jak ród stary niegdyś szczerze.
A choćby cię los miał chłostać,
To przy wierze trzeba zostać.
Gdy co robisz — to statecznie,
Zawsze dobrze, pożytecznie,
Byś nie doznał nigdy szkody
I nie wiedział, co zawody.
Gdy co lubisz — to już pracę,
I sumienną, rychłą pracę,
A nie krzywdę, miły bracie,
To ci dobrze będzie w chacie.
A więc pracuj, lecz uczciwie,
A gdy płacisz — to godziwie.
Jak ty robisz, tak i słudzy,
Jak ty czujesz, tak i drudzy.
Dajesz słowo — to rzetelnie,

Byś się sprawił zawsze dzielnie.
W czasie — to dwa razy dajesz,
Pewnie już to sam poznajesz.
Masz co tać — to już stale
A nie zdradzaj, bracie, wcale.
Gdy się brzydzisz — to pijaństwem,
I oszustwem i cygaństwem.
Gdy ci miłe — to już zdrowie,
Bo to pierwsze każdy powie.
Kiedy kochasz — to prawdziwie,
Nie obłudnie, lub fałszywie.
Chcesz mieć mienie — bądź oględny
I nie skąpy, lecz oszczędny.
Wydać tyle, ile trzeba,
A nie żałuj drugim chleba,
Kiedy cenisz — to oświata,
Bo uczni twoją chatę,
Byt powiększy i podeprze,
A co takie to i lepsze.
Cenną także — dobra rada,
Bo z niej często zysk nie lada.
W niej pociecha i otucha,
A więc takiej nadstaw ucha.
Szanuj starca, ubogiego,
Nie zakrywaj serca twego,
Bo Bóg z nieba czyny widzi,
On się sercem podiem brzydzi.
Gdy gość przyjdzie — przyjm do chaty
Czy on biedny lub bogaty,
Otwórz serce, uracz człeka,
Czy on z blizka lub z daleka.
Wskaż, żeś Polak, żeś tej wiary,
Co i dawniej ród nasz stary.
Nie bądź z tego nigdy próżny —
Bądź pomocny i usłużny.
Kiedy gardzisz — to zazdrością,
I lenistwem i podłością;
A kto pyszny lub chełpliwy —
Toć to głupiec jest prawdziwy.
Nie bierz nigdy cudzej rzeczy:
Ze to brzydko — nikt nie przeczy.
Chcesz być znacnym, miły człeku,
W jakimkolwiek jesteś wieku,
Bądźże szczerzy i otwarty,
A broń Boże nie uparty.
Odnaczaj się pięknym czynem
I bądź mężem, ojcem, synem
Dobrym, prawym jak potrzeba —
A na ziemi doznasz nieba.

Złote słowo.

(Wincenty Pol.)

Niech oko opatrne, co czuwa nad światem,
Nad mrówki i pszczołki robotą,
Osypie wasz żywot owocem i kwiatem,
Niech natchnie poczciwą ochotą!
Niech praca po ziarnku dokłada do ziarnka,
Niech mierzy i liczy i waży;
A kiedy poczciwa uzbiera się miarka,
Niech miłość tą miarką szafarzy.
Wśród burzy żywota, nie wyjdzie bezpieczny,
Z tej walki, ni wielki, ni mały,
Lecz wyjdzie oględny, wytrwale stateczny,
Rozumnie serdeczny i dbały.
Więc licz się i z czasem i z groszem, i z wiekiem,
Cwicz w pracy i w męstwie i w cnocie,
Szczędź zdrowia i mienia, czcij sojusz z człowiekiem,
A Bóg ci pomoże w robocie.



Trafiła kosa na kamień.

FRASZKA SCENICZNA W JEDNYM AKCIE.

OSOBY:

LUDWIKA, pokojowa pani Tkliwskiej,
TEODOR, służący.

Rzecz dzieje się w mieszkaniu pani Tkliwskiej.

SCENA I.

(Scena przedstawia pokój ładnie umeblowany.)

LUDWIKA (sama.)

Teraz po odjeździe mojej pani na wieś, jestem samowładną rządczynią w całym domu, nikt a nikt jak Ludwika! Nie ma teraz nikogo, ktoby mi rozkazywał, ach to pięknie! Moja pani odjeżdżając, poleciła mi, ażebym przyjęła do usług jakiegoś Teodora, który był u pana kapitana, wuja mojej pani, i którego on, odjeżdżając na Ukrainę, zostawił tu w Krakowie... Co to może być za jeden ten pan Teodor? Nie znam ani jego samego, ani jego pana; ta akwizycja jest dla mnie wcale niepomyślną. Powiada mi moja pani, że ten Teodor z jej wujem wiele podróżował, musi być zapewne światły, dowcipny, kto wie, może i filut!

SCENA II.

(Teodor wchodzi po cichu i staje w głębi.)

LUDWIKA.

Kto to może wiedzieć! może ten Teodor wkradnie się w łaski mojej pani? Strach! mój urząd pierwszej faworyty straciłby wiele na swojej świetności, a do tego mój wuj, organista z dóbr mojej pani, prosił mnie, ażebym jego syna Bartłomieja mogła wkreślić do naszego domu.

TEODOR (na stronie.)

Tu widzę o moją skórę chodzi.

LUDWIKA.

Prawda, że i tam tego nie znam, lecz od dzieciństwa usługiwiał na wsi, rzecz jasna, to musi być gawronem, mnie takiego właśnie potrzeba. *(zamyśla się.)* Muszę koniecznie wysadzić Teodora. Tak! kapitan już wyjechał, a Teodor nie zna ręki mojej pani. piszmy więc dekret dla niego *(siada i pisze):* "Kochana Ludwiko!"

TEODOR *(na stronie.)*

"Niegodziwa Ludwiko!"

LUDWIKA *(pisząc.)*

"Lubo wujowi memu przyrzekłam przyjąć jego lokaja, którego zostawił w Krakowie, lecz zreflektowawszy się, osądziłam, że mi wcale niepotrzebny, i że ty, moja kochana Ludwisiu, zupełnie mi wystarczysz, bo jesteś dobrą i cnotliwą."

TEODOR *(na stronie.)*

Niebożatko złych ma widzę sąsiadów, bo się sama chwali.

LUDWIKA *(pisząc.)*

"Skoro ten Teodor przyjdzie do ciebie, pokaż mu mój list i powiedz, niech sobie innej służby szuka."

TEODOR *(na stronie.)*

Wyśmienity projekt, posłuchajmy dalej.

LUDWIKA *(pisze.)*

"Ściskam cię serdecznie, kochana Ludwisiu."
Juliana Tklińska, starościna.
(śmiejąc się.) Ha, ha, ha! otóż twój dekret, panie Teodorze!

TEODOR *(na stronie.)*

Otóż twój dekret, panno Ludwiko! *(Cofa się i wraca, krzając.)* Hm! hm!

TEODOR.

Jaśnie Wna Pani, ja jestem lokaj, o którym pan kapitan Dziwacki Wnej pani wspominał.

LUDWIKA *(na stronie.)*

Cicho! Bierze mnie za swoją panią *(głośno.)* Czy to ty jesteś, przyjacielu?

TEODOR *(kłania się.)*

Tak, to ja jestem i byłbym szczęśliwy, gdyby Wna Pani Bobrodziejka łaskawa....

LUDWIKA.

Ale przypatrz się tylko dobrze.

TEODOR.

Jaśnie Wna Pani!

LUDWIKA *(na stronie.)*

Nieszpetny mężczyzna *(głośno.)* Mój przyjacielu Ja nie jestem starościna, jestem Ludwika, jej garderobiana.

TEODOR.

Czy podobna? Wna pani żartujesz, ta szlachetna postawa, ten wspaniały ruch!

LUDWIKA *(na stronie.)*

Ma widzę rozum wspaniały *(głośno.)* Wierz mi, mój przyjacielu, jestem garderobiana.

TEODOR.

Nie mogę temu wierzyć.

LUDWIKA.

Przysięgam ci na honor!

TEODOR.

Na honor garderobiany! No, to już wierzyć muszę. O! jak jestem szczęśliwym, iż będę miał za towarzyszkę tak piękną, tak przyjemną osobę.

LUDWIKA *(na stronie.)*

To wcale nie głupi chłopiec, dalibóg! żal mi go *(upuszcza list.)*

TEODOR.

Pani list upuściła *(podnosi i oddaje.)*

LUDWIKA.

To nic nie szkodzi *(rzuca list na stół.)*

TEODOR *(z wybuchem.)*

Ha! ha! ha! Już dosyć tych banialuk. Ha! ha! ha! nie prawdaż moja lubciu? Tylem ci naprawił andronów, duserów, żem ci się zupełnie podobał! Mówiny więc teraz o interesie.

LUDWIKA.

Jakto? tyś mnie nie wziął za moją panią?

TEODOR.

Uchowaj Boże! musiałbym nie mieć oczów w głowie.

LUDWIKA.

A twoje wszystkie oświadczenia?

TEODOR.

Były najprawdziwszem kłamstwem.

LUDWIKA *(na stronie.)*

Poczwaro!

TEODOR.

Za pierwszym rzutem oka poznałem, że jesteś nic więcej, jak służąca - a to wszystko, com ci prawił o szlachetnej postawie, o wspaniałym ruchu, było, jak już mówiłem, najprawdziwszem kłamstwem.

LUDWIKA *(na stronie.)*

A to oszust!

TEODOR.

Przy pierwszym mojem poznaniu chciałem cię przekonać, że twój przyszyły kolega, jeżeli nie jest wyższym nad ciebie w dowcipie, kłamstwie i wybiegach, to ci przynajmniej zupełnie będzie równy, a teraz pogódźmy się i na znak zawartego przymierza, uściskajmy się serdecznie. *(Chce ją uściskać.)*

LUDWIKA *(odpycha go.)*

Zwolna!

TEODOR.

Albo ja głupi czekać?

LUDWIKA.

Oddał się bezczelny!

TEODOR.

Czelny, czy bezczelny. Dość, że cię już pokochałem, żenię się z tobą i kwita.

LUDWIKA.

Ja już jestem zaręczona!

TEODOR.

Z kim takim?

LUDWIKA.

A tobie co do tego?

TEODOR.

Prawda i to! No, tymczasem, nim pójdziemy do ołtarza, opowiedz mi wszystkie twojej pani zwyczaje, obrządki, nałogi, przywary, zalety, grymasy, chimery, kaprysy, żądania, chęci; słowem, naucz mnie tego wszystkiego, co jest potrzebne, abym wiedział o zasługach, dochodach przy-padkowych, złych i dobrych obrywkach i o tem wszystkim, czego się tutaj spodziewać można.

LUDWIKA.

To wszystko wcale nie jest potrzebne.

TEODOR.

A to dla czego?

LUDWIKA.

Tu się w tym domu nic dobrego, ani złego spodziewać nie możesz.

TEODOR.

Na przykład.

LUDWIKA *(daje mu list.)*

Czytaj!

TEODOR *(na stronie.)*

Złapałem cię, filutko *(głośno po przeczytaniu)! O mój mocny Boże!*

LUDWIKA.

Cóż to ci, paniczu rozkoszny?

TEODOR (*z żalem.*)

Jestem zgubiony!

LUDWIKA.

Żal mi cię z całego serca.

TEODOR.

Dla czegoż pani starościna przyjąć mnie nie chce?

LUDWIKA.

Bo to miejsce przyrządzone jest poczciwemu chłopcu.

TEODOR (*na stronie.*)

Poczciwemu gawronowi. (*głośno*): Jednak ja nie tracę nadziei, mój pan nie wyjechał jeszcze.

LUDWIKA (*przełknięta.*)

Co? pan kapitan nie wyjechał jeszcze?

TEODOR.

Jeszcze nie, idę, pokażę mu ten list.

LUDWIKA (*na stronie.*)

Pozna, że to nie jest pismo mojej pani, zginęłam na wieki.

TEODOR.

Oj! będzie on wrzeszczał! Z nim niebezpiecznie żartować.

LUDWIKA.

Śluchajno Teodorku, mnie się zdaje, że nie potrzeba, abyś mu ten list pokazywał.

TEODOR.

Oj, bardzo potrzeba! Bez tego listu żadnym sposobem obejść się nie można, bez tego listu nie uwierzyłyby mi wcale, bez tego listu powiedziałyby mi: to jest fałsz, oszustwo, moja siostrzenica nie umie kłamać, raz danego

słowa nie cofa. Nie turbuj się o mnie, moja Ludwisiu, ja tu zaraz powrócę, mój pan niedaleko ztąd mieszka, zobaczysz, pani starościna chcąc nie chcąc, musi mnie przyjąć do służby, bądź spokojna, moja rybko. (*Odchodzi.*)

SCENA III.

Ludwika sama.

LUDWIKA.

Cóż ja najlepszego uczyniłam? już po mnie, na co ja też komponowałam rękę mojej pani? ale któżby się był spodziewał, że ten dziwaczny kapitan Dziwacki jeszcze nie wyjechał. — Domyśli się wszystkiego, gdy mój list zobaczy, ma to być straszny pasjonat! Ach! mój Boże! jak on wpadnie, drzę cała! Jeszcem go nigdy nie widziała, piękne będzie spotkanie! Cóż ja mu powiem? — mojego głupstwa niezem usprawiedliwić nie zdołam! O mój Boże co tu robić? (*zamyśla się.*) Tak, uciekajmy, aby z pierwszego ognia ochłonać.

TEODOR (*staje w głębi.*)

LUDWIKA (*chce odejść, lecz spostrzega go.*)

O nieba! to on zapewne! Jakaż mina dzika! wąsy jak u sumal dalej w nogi (*kryje się do gabinetu na prawo.*)

SCENA IV.

(*Teodor wchodzi w ubiorze kapitana.*)

TEODOR.

Ludwika! gdzie ona jest? Gdzie jest ta nic dobrego (*na stronie.*) Żeby mnie tylko nie poznała (*głośno*) Ludwiko! Ludwiko! poczekaj, znajdę ja ciebie, Ludwiko! hej Ludwiko!

LUDWIKA (*wchodzi cała drżąca.*)

Jestem panie dobrodzieju!

TEODOR (*ostro.*)

Jakto, beczelna, tyś śmiała....

LUDWIKA.

Ah! panie dobrodzieju!

TEODOR.

Ha! pokornaś to teraz hultajko! wiem, ja wiem, że się jak lis układać umiesz.

LUDWIKA.

Ale....

TEODOR (*tupiąc nogą.*)

Milczeć! żadnego ale, ani słowa, ani mrumru! ty mnie nie oszukasz swoją świątobliwością! Któż cię tak nauczył zmyślać rękę swojej pani? a wiesz ty hultajko, czem to pachnie?

LUDWIKA.

Już tego w mojem życiu więcej nie zrobię.

TEODOR.

Milczeć! co cię przywiodło do odmówienia służby Teodorowi, takiemu słusznemu chłopcu, z krwi prawdziwie czysto lokajskiej, chłopcu z wyrafinowanym dowcipem, chłopcu pełnemu obyczajności, moralności, wielkoduszności, mężkości, he, gadaj! itd.

LUDWIKA.

Nie wiedziałam.

TEODOR.

Cicho! coś nie wiedziała, że on ma rozum, że jest obyczajny, jakby mu to z oczu wyczytać nie można było.

LUDWIKA.

Jam tego wszystkiego nie widziała.

TEODOR.

Milczeć mi zaraz! Jakto? Nie widziałaś tych wszystkich zalet — toś ślepa.

LUDWIKA.

Bynajmniej! Ja dobrze widzę, lecz on mi się tylko zdawał być...

TEODOR (*prędko.*)

Czem takim! Czem?

LUDWIKA.

Oszustem, wierzaj pan, że prawdę mówię.

TEODOR.

Ciszej mi zaraz! a wiesz ty o tem, że ty go krzywdzisz, ta otwartość na złe ci wyjdzie, on ci nigdy tego nie daruje, ten chłopiec kocha swój honor nad życie.

LUDWIKA.

Powiadają, że jego honor nie jest tak bardzo uciążliwym.

TEODOR.

Choćby i tak było, toś ty nie miała prawa odprawiać go bez wiedzy twojej pani.

LUDWIKA.

Ja wiem, żem zgrzeszyła.

TEODOR.

Jako wuj i opiekun twojej pani mam prawo w jej nieobecności zarządzać jej domem, zatem dla ukarania cię za twoje oszukaństwa wypędzam cię natychmiast ze służby.

LUDWIKA.

Ach, panie dobrodzieju!

TEODOR.

Nie, nic nie pomoże, musisz być ukarana, najprzód za to, iż przysłanego przezemnie Teodora chciałaś wypędzić i mnie przez to skrzywdziłaś, powtóre, żeś śmiała zmyślać rękę twojej pani; po trzecie, nie ma już dla ciebie protekcyi.

LUDWIKA.

Zmiłuj się pan dobrodziej.

TEODOR.

Żadnego pardonu.

LUDWIKA.

Cóż ja pocznę?

TEODOR.

Dalej wynoś się, fora ze dwora!

LUDWIKA.

Zaklinam pana dobrodzieja na kolanach *(knieka.)*

TEODOR.

Nie daruję.

LUDWIKA.

Wysłuchaj mnie pan.

TEODOR.

Głuchy jestem.

LUDWIKA.

Oto się u nóg czołgam.

TEODOR.

Nie ustąpię!

LUDWIDA *(zrywając się.)*

To już za wiele.

TEODOR.

Toś ty jeszcze nie poszła?

LUDWIKA.

Ja pójdę, ale przysięgam, że Teodor będzie wypędzony.

TEODOR.

Jeszcze mruczysz?

LUDWIKA.

Piekło i niebo poruszę. *(odchodzi w prawo.)*

TEODOR.

Żywo wynoś się i zabieraj swoje manatki!

SCENA V.

(Teodor sam.)

TEODOR.

Ha, ha, ha! Trafila kosa na kamień. Ona mnie chciała przez próg przesadzić. Rozbierzmy się z ubioru mojego pana. Ona niezadługo wyjdzie, będzie rozumiała że mnie pan Kajetan instalował na jej miejsce, wybieg za wybieg — otóż i ona! *(rzuca suknie do gabinetu i idzie do drzwi środkowych.)*

LUDWIKA *(wchodzi.)*

SCENA VI.

(Ludwika i Teodor.)

TEODOR *(mówiąc niby do pana.)*

Dziękuję panu Dobrodziejowi za jego względy! Co pan mówi, żeby ją wypędzić? Dobrze, dobrze, zdaj się pan tylko na mnie, już ją tu zaraz wytransportuję.

LUDWIKA.

Ty hultaju!

TEODOR.

Ah, nieboga, cóżes ty najgorszego zrobiła? Czemużeś mi o tem zaraz nie powiedziała.

LUDWIKA.

Ty nic dobrego, twoja to sprawka, tyś to namówił twojego pana.

TEODOR.

Czy ty nawet możesz o tem myśleć?

LUDWIKA.

Czy już poszedł ten okrutnik?

TEODOR.

Poszedł.

LUDWIKA.

Nie powróci?

TEODOR.

Nie.

LUDWIKA.

Więc ty tutaj zostaniesz?

TEODOR.

Tak jest, za twojem pozwoleniem.

LUDWIKA.

Życzę ci szczęścia! Oj! nie znasz ty mojej pani.

TEODOR.

To nic nie szkodzi, wkrótce się poznamy.

LUDWIKA.

To jest elegantka, grymaśnica, co chwilę łaje i bije....

TEODOR.

Niech cię o to głowa nie boli.

LUDWIKA.

Czekaj, przyjdzie i na ciebie kolej i to wkrótce.

TEODOR.

Niestety, to jest losem powszechnym, co dziś w górze, jutro na dole.

LUDWIKA *(na stronie.)*

Ha! co za wyborna myśl! poczekaj! nie spodziewasz się, co cię spotka *(odchodzi.)*

SCENA VII.

(Teodor sam.)

TEODOR.

Nieboga, żal mi jej doprawdy, ale ta lekcyca była dla niej potrzebna! Gdy ją z wygnania przywołam, pozna wtenczas, jak daleko nad nią wyższym jestem i będzie mnie umiała szanować, będę sobie, jak wszędzie bywałem, totumfactum. Ale cicho! zdaje mi się, że ktoś idzie! *(stucha)* to zapewno Ludwika wraca mnie prosić o miło-

sierdzie, ale nic z tego! Ażeby się jej zbyć, ubiorę się w mundur kapitański swojego pana *(odchodzi na lewo.)*

SCENA VIII.

(Ludwika ubrana za panią, woalem czarnym nakryta, mówi tonem grymaśnym.)

LUDWIKA.

Hej, Ludwiko! to życie wiejskie niemiłosiernie mi się znudziło! fi! co to za nudy! Ludwiko! *(na stronie.)* Nie widać go! ale którądy wyszedł, *(głośno)* Ludwiko!

TEODOR *(wchodzi w mundurze.)*

O nieba! to niechybnie pani starościna.

LUDWIKA *(sposstrzeża go drżącą.)*

Ach! to wuj mojej pani. *(spogląda na niego.)*

TEODOR *(na stronie.)*

Przypatruje mi się *(patrzy na nią.)*

LUDWIKA.

Jak mię oczyma mierzy.

TEODOR.

Już po mnie.

LUDWIKA.

Zginęłam.

TEODOR.

Już poznała mnie.

LUDWIKA.

On mnie zamorduje!

TEODOR.

Ale dla czego mi nic nie mówi.

LUDWIKA.

On mnie nie zaczepiał!

TEODOR.

Czeka mojego wyznania.

LUDWIKA.

Czeka, aż ja przemówię.

TEODOR.

Zacznijmy akt pokuty.

LUDWIKA.

Udajmy się do pokory (*zbliża się.*)

TEODOR (*zbliżając się.*)

Konceptu mi nie staje.

LUDWIKA.

Zemdleję (*postępując wolno.*)

TEODOR (*trzęsąc się.*)

Zbliża się do mnie (*postępując ku niej.*)

LUDWIKA.

Już idzie.

TEODOR.

Uprzedźmy ją.

LUDWIKA.

Zacznijmy wyznanie (*oba je chcą klękać.*)

TEODOR.

Pa.... pa.... pani.

LUDWIKA (*na stronie.*)

Co widzę?

TEODOR (*zdejmując czapkę.*)

Ja.... ja.... jestem.

LUDWIKA (*zdziwiona.*)

Teodor?

TEODOR (*belkocąc.*)

Tete.... te.... te.... odor.

LUDWIKA (*na stronie.*)

A oszust! zapłaćmy mu teraz wet za wet!

TEODOR.

Biedny Teoderek!

LUDWIKA (*na stronie.*)

Nie wiem jak zacząć?

TEODOR.

JWna Pani jam się dla tego przebrał, bo służąca pani Ludwika, ta filutka, gwałtem mnie chciała wypędzić.

LUDWIKA (*na stronie.*)

O! hultaj, jak mnie oszukał.

TEODOR.

Daruj mi pani ten podstęp, chciałem sobie przez to służbę zapewnić.

LUDWIKA (*groźno.*)

Wstań nikizemny.

TEODOR (*wstając.*)

Pani mi przebaczasz?

LUDWIKA.

Milcz! idź precz! czekaj, biegaj! zawołaj Ludwiki!

TEODOR.

Ja pani.... Ludwika (*na stronie.*) Co jej powiedzieć?

LUDWIKA.

Idź, mówię, zawołaj mi Ludwiki.

TEODOR.

Ach, pani, muszę wyznać prawdę, jam ją....

LUDWIKA.

Co! gdzie jest Ludwika!

TEODOR.

Jam ją odprawił!

LUDWIKA.

Jakto? ty śmiałeś odprawić Ludwikę, moją najukochańszą, najuczciwszą Ludwikę, która nie służąca, ale przyjaciółką moją była.

TEODOR.

Pani! Ja jej nie poznałem.

LUDWIKA.

Jakto? nie poznałeś?

TEODOR.

Jam w niej tych wszystkich cnót wcale nie upatrywałem.

LUDWIKA.

Cóż to hultaju? czy ty rozumiesz, że ja nie umiem sądzić o ludziach?

TEODOR.

Boże uchwaj! Jam tylko chciał przedstawić w największej pokorze, że ta filutka tak zrećźnie ułożyć się umie jak kotek.

LUDWIKA.

Co? hultaju, śmiesz w mojej przytomności hańbić najlepszą moją przyjaciółkę?

TEODOR.

Pani dobrodziejko! ja się omyliłem, panna Ludwika jest zbiorem wszystkich cnót.

LUDWIKA.

Tak, to dobrze, idź teraz zdjąć ten ubiór, tak nieodpowiedni twojemu stanowi.

TEODOR.

Natychmiast pani dobrodziejko (*idzie na lewo.*)

LUDWIKA.

Złapałam cię, oszuście! Poczekaj! zbrzydzę ja tobie tę służbę, dla której chciałeś mnie wypędzić, teraz sam będziesz z niej uciekał.

TEODOR (*wraca w liberyi.*)

Jestem już, pani dobrodziejko.

LUDWIKA.

Więc to ciebie na polecenie wuja mego mam przyjąć za lokaja? Czy ci wiadome okoliczności wszystkie, dotyczące się tej służby?

TEODOR.

Nic a nic pani dobrodziejko.

LUDWIKA.

U mnie służba bardzo dobra.

TEODOR.

Tem lepiej dla mnie!

LUDWIKA.

Ale trzeba być pilnym! Dzień i noc siedzieć w przedpokoju, przybiegać natychmiast, choćby o północy, kiedy tylko zadzwonię. — Dwadzieścia biletów roznieść w jednej godzinie, biegać po mieście choćby deszcz lał i pioruny biły. Być razem lokajem, stangretem, kamerdynerem, szwajcarem, kuchmistrem, laufrem, pocztylionem, słowem tem wszystkim, co ja będę chciała, pracować nieustannie, nie spać choćby w nocy, chyba ukradkiem, jeść mało, nie upijać się nigdy.

TEODOR.

Bardzo dobrze pani dobrodziejko!

LUDWIKA (*na stronie.*)

Trudno go będzie odstraszyć. (*Głośno.*) Jeszcze mam ci wiele do powiedzenia. Lubo jestem z natury dobra i cierpliwa, jednakowoż gniewam się zaraz, łaje, a jeszcze częściej biję.

TEODOR.

Ze mnie pani zapewne będziesz zadowolniona.

LUDWIKA (na stronie.)

Jakoś widzę odważny. (*Głośno*): Dobrze, więc kiedy na wszystko przystajesz, przyjmuję cię do służby za lokaja. Zaczynaj natychmiast służbę. Przynieś mi kawy. Czeka! idź, polewaj kwiaty! Czeka! uprzątnij w sali! idź koniom dać obroku.

TEODOR.

Biegnę!

LUDWIKA.

Czeka! Mój stangret chory, zawieziesz mnie do miasta na obiad, będziesz mi służył do stołu, tego wieczora jadę na wieś, będziesz mi na wsi obiad gotował? Jutro rano poślę cię kuryerem 12 mil od Krakowa do mojej ciotki. Trzeba żebyś jeszcze przed południem wrócił i obiad mi zgotował.

TEODOR.

Bardzo dobrze pani dobrodziejko (*na stronie.*) Ciasno tu na mnie, bardzo ciasno (*odchodzi.*)

LUDWIKA.

Czeka! najprzód biegaj mi do pani kasztelanowej Modnickiej, także do pani szambelanowej Umizgalskiej — spytaj się pierwszej, czy jej piesek zdrowy. Drugiej, czy jej papuga dobrze spała. Czeka! wstap do sklepu, kupisz ryżu, wódki pachnącej, dwie pary rękawiczek, wachlarz haftowany i lornetkę. Biegaj! wracaj za kwadrans, a żywo — ale.

TEODOR.

Dobrze pani, ale....

LUDWIKA.

Cóż? ale? ja nie lubię żadnego ale, — biegnij! czeka! przynieś mi czekolady.

TEODOR.

Zaraz pani!

LUDWIKA.

Czeka! źle mi jest — przynieś mi wódki kolońskiej z mojej toalety.

TEODOR.

Natychmiast.

LUDWIKA (*krzycząc.*)

Teodor!

LUDWIKA.

Czeka! bądź przy mnie, boję się, żeby nie zemdleła.

TEODOR (*na stronie.*)

A bodajesz umarła.

LUDWIKA (*krzycząc.*)

Teodor!

TEODOR.

Jestem pani!

LUDWIKA (*rzuca się w krzesło.*)

Umieram!

TEODOR.

No, Bogu dzięki! ale cóż ja tu z nią będę robił? sam ledwie na nogach stoję! Hej! Pani! Dobrodziejko! (*trzęsąc jej rękę.*)

LUDWIKA.

Hultaju, rękę mi złamiesz, biegaj mi po lekarza, czeka! idź! czeka!

TEODOR (*zmęczony.*)

Słu.... słu.... cham.

LUDWIKA.

Nerwy się we mnie kurczą.

TEODOR.

Cóż ja mam robić z temi nerwowemi kurczętami?

LUDWIKA.

Po lekarza mówiłam.

TEODOR.
Biegnę!

LUDWIKA.
Czekaj!

TEODOR.
Czekam!

LUDWIKA.
Czemuż nie idziesz?

TEODOR.
Idę!

LUDWIKA.
Czekaj! idź — czekaj!

TEODOR *(siada.)*
Już się z miejsca nie ruszę! oj! oj! moje nogi.

LUDWIKA.
Cóż ci mój wuj odjeżdżając, kazał powiedzieć?

TEODOR.
Ka.... ka—zał pani powiedzieć.

LUDWIKA.
Mówże prędzej!

TEODOR.
Pan kapitan — nie mogę ani słowa wymówić....

LUDWIKA.
Gadajże mówię.... albo....

TEODOR.
Za.... zadyszałem się.

LUDWIKA.
Co ty tam mruczysz? he?

TEODOR *(głośno):*
Nic, a nic: *(na stronie)* o! co tego to zanadto, niech ją piorun trzaśnie z jej służbą.

LUDWIKA *(na stronie).*
Przeciem mu dokuczyła. *(głośno):* No, i cóż. kapitan?

TEODOR.
Mój pan?

LUDWIKA.
Skończysz ty dzisiaj?

TEODOR.
Odjeżdżając, kazał pani dzień dobry powiedzieć!

LUDWIKA.
Co? ty łotrze, zarty sobie ze mnie stroisz? idź mi precz!

TEODOR.
Ach, z całej duszy pani dobrodziejko!

LUDWIKA.
Czekaj! rozumiałby kto, że u mnie służba jest przykra, u mnie, która jestem tak dobrą panią.

TEODOR.
Tysiąc rozkazów w jednej minucie, to za wiele pani dobrodziejko!

LUDWIKA.
A choćby i milion, kiedy mi się tak podoba, twoim obowiązkiem jest wypełnić je bez szemrania! Za to ci płacę i za to cię żywię!

TEODOR.
Nie, pani dobrodziejko, my się nie zgodzimy, ja jestem flegmatyk i wszystko zwolna robię—pani dobrodziejka jest żywa, niecierpliwa!

LUDWIKA.
Kto? ja niecierpliwa? *(uderza go w twarz).* Oto masz za twoje zuchwalstwo.

TEODOR.
Uniżony sługa, dziękuję pani za służbę i za zapłatę.

LUDWIKA.
Czekaj ani kroku, ja chcę, żebyś tu został.

TEODOR *(na stronie)*.

Czy mnie tu djabli wnieśli! bodaj ten pan kapitan kark skreć! *(głośno)* Bądź pani łaskawa uwolnić mnie ze swojej służby. Pani jesteś zanadto dobra, mógłbym się popsuć u niej.

LUDWIKA.

Idź więc do kaduka! wynieś się a prędko!

TEODOR *(na stronie)*.

Chwała Bogu. *(głośno)* Natychmiast! *(odchodzi na lewo)*.

LUDWIKA.

Po co tam idziesz!

TEODOR.

Chcę zabrać mój ubiór kapitański. *(na stronie)*. U ta kiej sekutnicy nie służyłbym za miliony. *(odchodzi)*.

SCENA IX.

LUDWIKA *(sama rozbiiera się)*.

Ha! ha! ha! umrę ze śmiechu. Panie Teodor, odemnie musisz brać lekcję filuteryi. Grajmy tę samą rolę co on grał ze mną, niech widzi mój pochód tryumfalny. *(rzuca suknie do gabinetu)*. Otóż i on! moje pięć palcy znać mu jeszcze na twarzy.

SCENA X.

TEODOR *(wchodząc)*.

Upadam do nóg pani, dziękuję za służbę i za zapłatę, a to ty Ludwiko, jużś wróciła.

LUDWIKA.

Dowiedziałam się, iż pan kapitan od dwóch godzin wyjechał, domyśliłam się twojej sprawy i wróciłam.

TEODOR.

Ja właśnie chciałem cię szukać!

LUDWIKA.

Doprawdy?

TEODOR.

Twoja pani jest sekutnicą, rodem z piekła.

LUDWIKA.

Dopierom się z nią widziała.

TEODOR.

Tyś się z nią widziała?

LUDWIKA.

Strasznie na ciebie zagniewana.

TEODOR.

Nie dbam już o jej gniew, bo ztąd odchodzę, biada temu, kto tu będzie na mojem miejscu. Twoja pani bardzo rezolutna. *(widząc śmiech Ludwiki na stronie)*. Zaczynam mieć podejrzenie.

LUDWIKA *(śmieje się)*.

Więc chcesz innej służby szukać?

TEODOR.

A jużci, kiedy mnie twoja pani wypędza.

LUDWIKA.

Rozstańmy się bez gniewu przynajmniej. Ja wiem, dla czego ci odradzałam przyjmować służbę u mojej pani..... O znam ja ją bardzo dobrze.

TEODOR.

O! prawda, pocziwa z ciebie dziewczyna.

LUDWIKA.

Czy chcesz się jeszcze raz ze mną żenić?

TEODOR.

Koniecznie! pomimo tego, że jesteś innemu zaręczona.

LUDWIKA.

Pomyślmy o tem. Do widzenia panie Teodor. *(śmieje się)*.

TEODOR.

Po cóż ten uśmiech szyderczy?

LUDWIKA *(szyderczo)*.

Adieu, biedny Teodorku.

TEODOR.

Ty się ze mnie naśmiewasz?

LUDWIKA.

Szukaj gdzieindziej lepszej służby, gdzieby twoje zdrowie lepiej szanowano.

TEODOR *(na stronie)*.

Jestem oszukany, uważajmy na nią.

LUDWIKA.

Czego się ocłagasz?

TEODOR.

Muszę się pierwiej z twoją panią pożegnać.

LUDWIKA.

Obejdzcie się wcale bez tego.

TEODOR.

Byłoby to niegrzecznie, gdzie jest pani?

LUDWIKA.

Pani nie kazała nikogo do siebie wpuszczać.

TEODOR.

Czy tu w tym gabinecie jest?

LUDWIKA.

Tak, tutaj!

TEODOR.

Muszę iść do niej koniecznie.

LUDWIKA.

Boże uchowaj!

TEODOR.

Ale czemu?

LUDWIKA.

Ona się na ciebie gniewa, gdyby cię zobaczyła, dostałaby migreny!

TEODOR.

Migreny! Bądź więc zdrowa, idę już, lecz bądź pewna, że pomimo tego niepomysłnego wypadku muszę się z tobą koniecznie ożenić.

LUDWIKA.

Dobrze, dobrze! cóż ty tam masz pod pachą?

TEODOR.

Pana kapitana. *(odchodzi)*.

SCENA XI.

LUDWIKA *(sama)*.

Oto masz figiel za figiel! żal mi go doprawdy, ale dobrze mu tak! wet za wet! Więc zaraz znowu jestem faworytą i nie boję się nikogo! prawda, że mnie to wiele pracy kosztowało. Teodor będzie od tego domu, jak od zapowietrzonego, uciekał. Jednakże to paradna rzecz rozkazywać. Jak Bartłomiej przyjęty zostanie, musi mi jak pani usługiwać. *(słychać Teodora śpiewającego za sceną)*. Cóż to za głosik dyszkantowy? To Bartłomiej zapewne.

SCENA XII.

TEODOR *(wchodzi jak chłop)*.

A czy to panna jesteś panna Ludwika?

LUDWIKA.

Tak, ja jestem, lecz ktoś ty jesteś?

TEODOR.

Hm! ja nie jestem ty, ale pan Bartłomiej, syn pana worganisty, wuja aspany.

LUDWIKA.

Ale cóż to za niezgrabna facyata.

TEODOR.

Wejcie no, jak tu ślicznie *(rozgląda się)*.

LUDWIKA.

Gawron i straszny gawron! Czy ci się tutaj podoba?

TEODOR.

Ha! ha! ha! ogniście! ha! ha! ha!

LUDWIKA.

Z czego się tak ustawicznie śmiejesz?

TEODOR.

Aspanna tak jesteś śliczna, tak piękna! że co się spo-
żrę na aspannę, to się śmiać muszę, ha! ha! ha!

LUDWIKA.

Skończysz ty już te chichoty?

TEODOR.

A gdzie aspanna mieszka?

LUDWIKA.

Tutaj!

TEODOR.

Tutaj? w takim pięknym pałacu? tak pięknie ubra-
na? ha! ha! ha! Ktoby to powiedział, żeś waćpanna przed
dwoma laty było pasażką?

LUDWIKA.

Tylko mi to jeszcze raz wspomnij gapiu, a zaraz cię...

TEODOR.

No, no, no, nie powiem nikomu, żeś waćpanna było
pasażką, ha! ha! ha!

LUDWIKA.

Czy ci się doprawdy mój ubiór podoba?

TEODOR.

A jużci, że mi się podoba, a co to za śliczna szmata,
jakie piękne faworki, jaka śliczna zapaska! Nasza pani,
kiej do kościoła idzie, to się tak nie ubiera. Ej, trzeba
na to dużo ogniście pieniędzy, a to nie na służebną,

LUDWIKA.

Zamiast gadania głupstwa, lepiejbyś zrobił, dziękując
mi za służbę, którą ci wyrobiłam.

TEODOR.

Bóg zapłać! Jużci ja za to aspannie się wywdzięczę.

LUDWIKA.

Głupiec! właśnie takiego mi potrzeba. Mój kochany,
zajprzód trzeba cię nauczyć, jak ty tu stoisz.

TEODOR.

Jak ja stoję? ha! ha! ha! na nogach, na obydwóch
nogach.

LUDWIKA.

Cicho, ośle! będziesz tutaj lokajem, będziesz brał 2
dukaty na miesiąc.

TEODOR.

Wejcie, jeno dwa dukaty? to niby sześć talarów. Oho!
ba i bardzo! mnie mówili, że tu będę brał 3 dukaty czyli
dziewięć talarów.

LUDWIKA.

Trzy dukaty, co to ma znaczyć? Ja będę brała je-
dnego dukata dla siebie za to, że ci służbę wyrobiła.

TEODOR.

Ej! ja nie chcę takiej cygańskiej łaski!

LUDWIKA.

To idź precz!

TEODOR.

Ba! jeszcze czego! no, dom aspannie dwa czeskie na
miesiąc.

LUDWIKA.

Ty rozumiesz, że ja za darmo od ciebie żądam tego
dukata, ja cię za niego będę uczyć służby, a potem z mej
łaski możesz na miesiąc dziesięć razy tyle zyskać.

TEODOR.

Dobrze i tak, ale ja z myta nie dam więcej, jak dwa
czeskie.

LUDWIKA.

Ty mi się sprzeciwiasz.

TEODOR.

Słuchajno, aspanno, te zyski, co aspanna powiedziała,
czy tylko będą bez grzechu?

LUDWIKA.

Ja grzech wezmę na siebie.

TEODOR.

Ej! mościa panno, masz aspanna dosyć odpowiadać za swoje.

LUDWIKA.

Straszniem się pomyliła na tym gawronie. Ty wszystko musisz robić, co ci każe, rozumiesz?

TEODOR.

Ba i bardzo! jo będę robił to, co pani mi każe i co poczciwość pozwala.

LUDWIKA.

Prostaku! ty tu umrzesz z głodu. Nasza pani bogata, nic to u niej nie znać, choćby ją czasem skubnąć.

TEODOR.

Słuchaj, aspanno! Takich rzeczy mi nie gadaj. Ja byłem u naszego dziedzica włódarkiem; nasz arendarz namawiał mnie, żebym pana w omłocie oszukał o dwa korce żyta. Kiej mi to powiedział, to jakim żyda palnął w pysk, aż nogami się nakrył, ot tak....

LUDWIKA.

Muszę się go pozbyć! ty zupełnie głupi jesteś, ty się tutaj nie zdasz.

TEODOR.

Już czy jo się tu zdom, czy nie zdom, mniejsza o to jo tu usiądę i będę czekał na panią (*siada*).

LUDWIKA.

Zginęłam! Ale to odemnie zależy.

TEODOR.

Zobaczymy! odemnie też będzie zależało, aby powiedzieć, żeś aspanna mnie namawiała, aby panią oszukał! ha! ha! ha!

LUDWIKA.

I tybys śmiał?

TEODOR.

Ja na nic nie zważam, jo gotów pójść do pani i powiedzieć: Mościa Pani Dobrodziejko, ta szmata za pani pieniądze (*wskazuje na suknię*).

LUDWIKA.

Ty zuchwalcze!

TEODOR.

Mościa Pani Dobrodziejko, takich faworków służebna z poczciwością nosić nie może.

LUDWIKA.

A ty hultaju! (*na stronie*). Co tu robić z tym prostakiem!

TEODOR.

Trafiłem! (*głośno*). Mościa Pani Dobrodziejko, ta spódnica jest z podszewki pańskiego rubrona, ha! ha! ha!

LUDWIKA.

No, namyśliłam się, że ty tutaj żadnym sposobem zostać nie możesz, wracaj więc do domu i pozdrów wszystkich odemnie.

TEODOR.

Ani myślę, odpocznę sobie, dopóki pani nie przyjdzie.

LUDWIKA.

Jeżeli ztąd nie pójdziesz precz, to pójde po policyanta.

TEODOR.

Ba i bardzo, po policyanta, to ja pójde, ale jak pani powróci, to i my powrócimy.

LUDWIKA.

A! już po mnie, już się nie wykreję, on wszystko powie, będę odprawiona. Ach! pccóżem Teodora wypędziła?

TEODOR.

Ubierz mnie panna w liberyą.

LUDWIKA.

Ja mam ciebie ubrać w liberyę? Ten mazgaj ma być przyjęty za kamerdynera, który, że ledwie wart być stróżem?

TEODOR (*śpiewa*).

Czemżeś się nie ożenił
Bajtała, Bajtała,

Kiedy ci matusia z córką
Krowę swą dawała.
Czemużeś się nie ożenił
Bartosu, Bartosu,
Kiedy była kworta piwa
Po grosu, po grosu.

LUDWIKA.

O nieba! cóżem ja uczyniła! czemuż chciałam odmie-
nić wolę mojej pani! O! gdybym Teodorka ujrzała, a te-
go gawrona, żeby licho porwało!

TEODOR (*rzuca ubiór*).

Tak mówisz, niech go wezmą kaci, mówiłaś: o! gdy-
by Teodor wrócił! otóż jestem.

LUDWIKA.

Co widzę, Teodor?

TEODOR (*kłęka*).

Jakże, czy mianowicie na lokaja nie znajdzie już tru-
dności u panny Ludwiki?

LUDWIKA (*podając mu rękę*).

Mianuję cię lokajem pani starościny Tkliwskiej.

TEODOR (*wstając*).

Wiwat! od tej chwili kończy się wojna między nami.
Chciałaś mnie wygnać, abys sama domem rządziła, otóż,
choć tu będę, rób, jak ci się podobać będzie, rządz,
rozrządzaj—ażebys zaś zupełnego-prawa nabyła do wodze-
nia mnie za nos, przyjmij mnie za męża, jeżeli przyrzec-
zenie być grzecznym i szanującym cię mężem, znaczy co
u panny Ludwiki, tedy rzeknij słowo a....

LUDWIKA.

Cóż, będziesz grzecznym, będziesz mnie szanował?
(*podaje mu rękę*). Oto ja twoja, a ty mój!

TEODOR.

Wiwat! zgoda: kiedy się dwóch filutów żeni, to wszy-
stkich pocciwych kieszenie drzeć powinny.



Wschód słońca.

Drobnostka dramatyczna dla teatrów amatorskich

— przez —

JERZEGO BELLY.

OSOBY:

Stanisław, Matylda, jego żona. Elżbieta, służąca w oberży.
Rzecz dzieje się w górach szlążkich w domu zajezdnym
Scena przedstawia pokój gościny. Noc.

SCENA I.

Elżbieta, Stanisław, Matylda.

ELŻBIETA (*wprowadza Stanisława i Matyldę, niosąc dwie świece
zapalone*).

Tak, niech się państwo rozgoszczą.... Całogodzinna
droga na mułach to niezawodnie doskonale umęczy, szcze-
gólniej w nocy, kiedy niepodobna dobrze rozróżnić, czy
na prawo czy na lewo można zlecieć do przepaści!.... Ale
za to tutaj, z naszej oberży zobaczycie państwo taki sli-
czny wschód słońca, jaki nigdzie nie bywa.... Anglicy
przyjeżdżają tutaj umyślnie, aby to oglądać....

STANISŁAW.

Dobrze, już dobrze....

ELŻBIETA.

Już kto potrzebuje wschodu słońca, to nigdzie pię-
kniejszego nie znajdzie.... Cztery czy pięć dni temu był
tu pewien podróżny.... przynajmniej hrabia, albo może
i co lepszego.... onby dopiero powiedział państwu, jaki
tu śliczny widok!

STANISŁAW.

Zdaje się, że za kwadrans ujrzymy go sami bez opo-
wiadania tego dostojnego podróżnego.

ELŻBIETA.

Tylko niech państwo zwracają uwagę na dwie największe skały; jedna nazywa się Krzywa Magdusia, a druga Łysy Kasperek.... Otóż gdy słońce wschodzi....

MATYLDA (*przerywa*):

Ale dość już, dość... będziemy przecież widzieli twoją Magdusią i Kasperka!

ELŻBIETA (*odchodząc na stronę*).

Co mi za jacyś państwo, niby podróżują, a o najciekawszych rzeczach w okolicy nie słuchać nie chcą. (*Wychodzi*).

SCENA II.

Stanisław, Matylda.

(Siadają na przeciwnych stronach stołu. Chwila milczenia.)

STANISŁAW.

Jesteś zmęczoną?

MATYLDA (*obojętnie*).

O nie!

STANISŁAW.

Bylibyśmy może lepiej zrobili, gdybyśmy byli zaniechali tej męczącej nocnej wycieczki.

MATYLDA.

Życzenia twoje są dla mnie rozkazem.

STANISŁAW (*urazony*).

Moje życzenia! moje życzenia! Wszakże jeszcze gdyśmy się wybierali w podróż, którą odbywamy, mówiłaś mi, że pragnęłabyś widzieć wschód słońca, w całej jego majestatyczności, w górach, sam na sam ze mną, zdala od sztywnych Anglików i papuziego paplania przewodników. To też dla ciebie tylko zgodziłem się porzucić nocleg wygodny i drapać się po urwiskach aż tutaj, gdzie pomimo gadania służącej o Anglikach, wiedziałem, że nie będzie żywej duszy oprócz nas. Dla ciebie, tylko dla ciebie....

MATYLDA (*zimno*).

Mój Boże! mógłś tego nie robić... byłabym uwolniona przynajmniej od wymówki, że dla mnie takie poświęcenie zrobiłeś.

STANISŁAW.

Matyldo! Już od dwóch tygodni jesteśmy w górach i wciąż mnie dręczysz obojętnością, której przyczynę próżno staram się odgadnąć.

MATYLDA.

Wiesz, że z natury nie jestem skłonna do zachwycać się niczem.

STANISŁAW.

Mówiłaś zawsze, że pragniesz odetchnąć powietrzem gór i wzrok nasycić widokiem cudów przyrody, otóż przebywamy okolice najpiękniejsze, jakie wyobrażenia wymarzyć może, a ty rzucasz zaledwie okiem na nie, jakby na trzyłokciową kupę piasku, albo na zagony ziemniaków. Doprawdy pojąć nie mogę tego i czuję, że już na wpół zwaryowałem!

MATYLDA (*złośliwie*).

Zatem w interesie drugiej swej połowy powinniśmy wracać natychmiast.

STANISŁAW (*z gniewem*).

Matyldo!....

SCENA III.

Ciż sami, Elżbieta.

ELŻBIETA (*wchodząc*).

Może państwo przyjdą na pierwsze piętro.... z góry lepiej będzie widać.... obłoki już gdzieś gdzieś różowieją....

STANISŁAW (*niecierpliwie*).

Dobrze, dobrze, przyjdziemy tam.

ELŻBIETA.

Niewiele czasu jest do stracenia (*wychodzi*).

SCENA IV.

Stanisław, Matylda.

STANISŁAW.

Zaklinam cię, Matyldo, nie dręcz mnie dłużej. Powiedz mi co ci jest, o co ci chodzi?

MATYLDA.

Sam nie wierzysz w to co mówisz.... o cóżby mi iść mogło przy takim mężu, jakim ty jesteś.... Gdybym się skarżyła na co, czyżbyś sam nie wzruszył ramionami z zdziwienia, że śmiem ci coś zarzucać.

STANISŁAW *(żywiej)*.

Matyldo, nie zniosę takiego tonu. Nadużywasz mej cierpliwości.

MATYLDA *(wstaje)*.

Groźby?... o! byłam na nie przygotowaną, dziwię się nawet, że dopiero teraz spadła ci maska.

STANISŁAW.

Matyldo.... widzisz, że się wysilam, ażeby panować nad sobą, ale nie żądam odemnie rzeczy nadludzkich.... Błagam cię jeszcze raz, powiedz mi, o co się gniewasz na mnie?

MATYLDA *(z tłumionym gniewem)*.

Odpowiem ci twemi własnymi wyrazami: widzisz, jak się wysilam, ażeby być spokojną, że staram się panować nad sobą, ale nadludzkich rzeczy nie wymagaj odemnie.. *(wybuchając)* Obłudniku, którego nienawidzę!

STANISŁAW *(w uniesieniu)*.

Matyldo!

MATYLDA *(mówi dalej)*.

Którym pogardzam....

SCENA V.

Ciż sami, Elżbieta.

ELŻBIETA *(wchodzi)*.

Krzywej Magdusi już się zacerwieniła czupryna, Łysy Kasperek....

STANISŁAW.

Dobrze, dobrze, zostaw nas samych.

ELŻBIETA.

Państwo się spóźnia, a to jest takie piękne, że a strach. *(na stronie)* Musieli się na księżycie dobrze napaść i teraz słońca nie ciekawi *(wychodzi)*.

SCENA VI.

Stanisław, Matylda.

STANISŁAW.

Na te słowa, które powiedziałaś, mam tylko jedną odpowiedź. Nie myślę zatrzymywać pod swem jarzmem kobiety, która mną pogardza.

MATYLDA.

A zatem już i rozwód pan przewidziałeś! O, przystaję, przystaję z całej duszy.... zmuszanie się do pańskiej obecności zabiło mnie....

STANISŁAW.

Możesz pani dziś jeszcze odjechać do rodziców, ja pojedę jutro.... adwokat ułoży resztę.

MATYLDA.

Nie będzie mu to trudno, z mojej strony nie napotka żadnej przeszkody.

STANISŁAW.

I ja także będę się starał ułatwić mu pod każdym względem....

MATYLDA.

Tym sposobem jesteśmy w zgodzie.

STANISŁAW.

W zgodzie. A kiedy jesteśmy skazani zabawić tu jeszcze razem, dopóki dzień nie zawita, możemy więc rozmawiać z sobą jak podróżni, których przypadek sprowadził do jednego pokoju, w jednej oberży. Opowiadajmy sobie historyjki. Jaby pani opowiedział powiastkę o pewnej angielskiej kobiecie, która będąc całą duszą przywiązaną do swego męża, w mgnieniu oka zaczęła nim pogardzać.

MATYLDA.

A ja o pewnym godnym małżonku i jego jeszcze godniejszym przyjacielu.

STANISŁAW.

Ciekawy jestem.

MATYLDA (*siada naprzeciw Stanisława*).

Temu potwo... temu ideałowi było na imię Stanisław. Poznał on na pewnym koncercie....

STANISŁAW.

Na którym wykonywano sonetę Beethovena....

MATYLDA.

Proszę mi nie przerywać. Poznał pewną młodą osobę, zamienił z nią kilka wyrazów, przypadek chciał, że ją potem spotkał powtórnie.... było to na balu....

STANISŁAW.

W kasynie miejskiem.

MATYLDA.

Tak jest, w kasynie.... Romans, który opowiadam, był niezawodnie drukowany i miał zapewne wielu czytelników.

STANISŁAW (*żywo*).

Nastąpiłem ci na suknię, ale nie byłem temu winien. To ten nieznośny referendaryusz.

MATYLDA (*przerywa*).

Opuśćmy zbyteczne dodatki i idźmy dalej.... Obyczajem powieściopisarzy pomijam kilka miesięcy. Wprowadzam czytelnika do wili, otoczonej prześlicznym parkiem. Zastajemy tam małżeństwo, które sobie przed chwilą dozgonną miłość przysięgało. Przed panem małżonkiem leżą książki i mapy.

STANISŁAW.

Był to "Ilustrowany przewodnik naszego kochanego Eliasza o Tatrach" i książka o górach alpejskich w Szwej-caryi.

MATYLDA.

Marzenia młodej żony miały być nareszcie spełnione, miała ujrzeć te piękne okolice, do których, czytając ich piękne opisy, wzdychała.... ale na cztery dni przed oznaczonym terminem wyjazdu zaszło coś okropnego, coś, co wzburzyło cały gmach jej nadziei. Młoda owa osoba nie należała do tych, które śledzą i podpatrują tajemnice swych mężów, zbyt dumna była na to.... mimowolnie jednak stała się świadkiem rozmowy, którą jej mąż, przypuszczając zapewne, że ona jest w parku, prowadził prawie na głos z pewnym nieznanym, wyszedłszy z nim ze swej kancelaryi na korytarz.

STANISŁAW.

Korytarz.... rozmowa.... nieznamy.....

MATYLDA.

Tak, są to zwykle okoliczności towarzyszące tajemnicy. Twarz tego nieznanego ubranego w żółty hawelok i wysoki kapelus, zapamiętała zresztą młoda małżonka tak dobrze, że poznała go w cztery dni potem na dworcu kolei w chwili wyjazdu i tam z oburzeniem dowiedziała się, jakie to zadanie z polecenia jej godnego małżonka ów szlachetny poseł wypełnia.

STANISŁAW.

Poseł.... zadanie.... godny małżonek.... zupełnie nie pojmuję całej tej historii.

MATYLDA.

To dziwne, doprawdy dziwne, mój panie, bo głównym działaczem całej tej ślicznej komedii, mój panie.... byłeś ty!....

STANISŁAW.

Nie rozumiem ani jednego słowa....

MATYLDA.

O! powtórzę panu, coś mówił do tego niegodziwca w żółtym haweloku i wysokim kapeluszu! Były to słowa... słuchaj i oniemiej.... były to słowa: "Wiadomo panu, że są one moją namiętnością, której się wyrzec nie mogę.... więc przez czas mojej nieobecności zajmij się pan niemi i szczególnie pamiętaj o..." Nie, to nad moje siły, tego już nie zdołam powtórzyć!....

STANISŁAW.

Pamiętaj... pamiętaj o czym?

MATYLDA (*z wysileniem*).

O obu Karclinach! Ach! Boże! ja tego nie przeżyję!...

STANISŁAW.

O obu Karolinach?

MATYLDA.

Tak nędzniku, o obu... jakby jednej nie było dosyć, żeby mnie do rozpaczki przyprowadzić!

STANISŁAW.

Zdaje mi się, że to ten sen gorączkowy... historia z Tysiąca nocy...

MATYLDA.

Przed samym wyjazdem na peronie, pokazał się jeszcze raz ten straszny człowiek w żółtym haweloku, dał ci niebieską kopertę i szepnął parę słów do ucha. Ty schowałeś kopertę i z pozorną obojętnością do pugilaresu, nie domyślając się naturalnie, że ja wiem o wszystkim, o wszystkim! (*ptacząc.*) Ach to zdrada! to ohydne!

STANISŁAW (*wybuchając śmiechem*).

Niebieska koperta!... peron!... na wszystkie duchy nieba i ziemi!... umrę ze śmiechu!...

MATYLDA.

Gdy mnie serce pęka z bóleści... Ale! to zimne okrucieństwo jest godnym zakończeniem obłudy.

STANISŁAW.

Lube, drogie dziecię, uspokój się! Zajrzyj do mego pugilaresu, jest tam jeszcze ta nieboraczka koperta, dotąd nie rozpieczętowana.

MATYLDA (*niedowierzająco*).

Doprawdy nie rozpieczętowana?

STANISŁAW.

Zaklejona szczelnie. Otwórz ją.

MATYLDA.

Ja? ja? więc mam cię zdemaskować ostatecznie?

STANISŁAW.

Demaskuj, tylko prędko!

MATYLDA.

A więc!... (*otwiera szybko kopertę*). Dwie marki pocztowe, nic więcej.

STANISŁAW.

I do tego używane! (*świeci jej*). Proszę znajdujące się na nich stemple pocztowe dobrze obejrzyć i odczytać napisy, ale uważnie przeczytać.

MATYLDA (*zgiotkuje*).

N-o-o-r-t-h North C-a-r-o-l North Carolina!

STANISŁAW.

Tak, tak... Wilmington, Nord Carolina. A na drugiej?

MATYLDA.

S-o-u-t-h South C-a-r South Carolina.

STANISŁAW.

Doskonale. South Carolina.

MATYLDA.

A ten niegodziwiec w żółtym haweloku...

STANISŁAW.

Jest handlarzem marek pocztowych, których posiadam zbiór prawie zupełny. Brakowało mi między innymi Północnej i Południowej Caroliny, więc mu poleciłem starać się o znaczki z tych dwóch stanów amerykańskich... Dostarczył mi ich na poczekaniu... ale od tego czasu pani była tak na mnie zagniewaną, że nie miałem chwili swobodnej, aby się zająć (*z przyciskiem*) "tą moją namiętnością, której wyrzec się nie mogę", więc nie odpieczętowałem nawet koperty.

MATYLDA.

Mój Boże! a ja z tego wysnułam taką straszną historię...

STANISŁAW.

A widzisz! trzeba będzie teraz przeprosić "swego godnego małżonka", bo przecież dobra żona, gdy uzna sama, że nie miała słuszności, to...

SCENA II.

Ciż sami. Elżbieta.

ELŻBIETA (*wchodząc spiesźnie*).

Zbliża się do tysego Kasperka!... Pędź państwo, pędź!... (*wybiega*).

STANISŁAW (*z komiczną uroczyością*).

Słyszysz, to głos wyroczni przemówił przez tę kobietę!

MATYLDA (*wesoło*).

A więc zbliżam się do ciebie, Łyay Kasperku... przebac mi, przebac!

STANISŁAW.

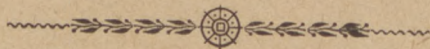
Przebaczam ci, aniele, ale niechaj już nigdy nie będzie cienia podejrzeń.

MATYLDA.

O! nigdy! nigdy! a gdyby zresztą kiedy pojawiły się, to pamiętaj o tem, że wszelkie cienie rozprasza...

ELŻBIETA (*ukazuje się we drzwiach*).

Wschód słońca. (*Zasłona spada*).



Cyganki.

Komedyjka w jednym akcie,

przez

PAULINĘ Z L. WILKOŃSKĄ.

OSOBY:

Stach, dworski parobek. — Różia, jego żona. — Bartek, brat Rózi. — Halka. — Basia. — Marysia. — Pieško, parobek. — Cyganka 1. — Cyganka 2. — Wieśniacy.

Rzecz dzieje się w chatce Stacha.

SCENA I.

Izdebka schludna, pod ścianą stoi skrzynka.

RÓZIA (*siedzi nad przęślicą, za sceną słychać skrzypki*.)

Słychać skrzypki na wsi: będą obchodzili dożynki, będą tańcowali na dziedzińcu, skakali, aż do północy chyba. Pan ich uczęstuje piwem, owocem, kołaczami, pohulają sobie. Ale ja z nimi nie pójdę. Co mi tam!... Co mi tam za zabawa! (*kiwa pogardliwie głową*.) Pan Staśka lubi, toć prawda, dał nam ot tę chałupkę, niezgorszą Bogiem a prawdą, aleć to nie domostwo gospodarza Jędrzeja, oj nie! Co nie, to nie! Tam gdzie spojrzeć, aż się w oku zaświeci: ściany bieluśkie, dach gładziuchny, okna i drzwi pomalowane czerwono, a ja co mam? Ot, strzechę, chałupę zwyczajną, mój Boże, mój Boże! (*składa ręce i smutno pokiwując głową*.) Dałci pan i krowinę Stachowi; ależ Bietka, co razem ze mną rosła, a potem poszła za gajowego, przecież trzy ma krówki, co mi tam jedna! Mam ja już i cielátko, ładne, graniaste, ale cielę to nie krowa. Co mi tam! A Kubiczowie, gospodarze, to aż cztery krowy mają, dwa cielátka, ba, już teraz jałówki, sześć świniak, parę koni, a drobiu to i nie naliczy! Jadą też sobie zawsze porządnym wozem do kościoła, a ja, ot, muszę iść piechotą. A przecież i na-jarmark sobie pojadą

i na odpust tu i owdzie, a ja, mój Jezu, siedzę i siedzę, i czek ani użyje świata! *(wspiera się zadąsana na przęślicy i siedzi zamyślona)*. Jaškowa, jaką to w przeszłą niedzielę miała piękną spódnice, iście gdyby woda, taka czysta, a w niebieskie kwiatki i fartuch jedwabny, kitajkowy i chustkę, niby jaka szlachciauka, czerwona ze szlakami, jak gdyby były żywe! A co ja mam? Nie! Parę szmatów niezgorszych i kwita; spódnice czerwona i zieloną i granatową i białą; żupanik w prażki muślinowy i znowuż w niebieskie prażki, i gorset jeden z granatowego sukna, drugi zielony kamlotowy, ale co to znaczy!... Jedruchowa wcale inny ma przyodziewek. Staško dostał od pana pienedzy i kupił mi ładną chustkę w kwiaty, wełnianą, jak organieściny, i czepiec i wstęgę czerwona. Ale co tam! Jejmość matka naszego pana podarowała mi też sukna cienkiego na kaftan za to, żem piastowała dziecie pańskiej siostry, jak tu była na święta, dostałam korale, *(wskazuje kilka sznurów korali, które ma na szyi)*. Ale, co tam sukno i co tam korale! Mnie żadno czego innego.

SCENA II.

(Wchodzą dwie cyganki i mówią razem:)

Dobry wieczór, szczęście Boże, jasna gosposiu.

RÓZIA.

Dobry wieczór! A zkądże Bóg prowadzi?

CYGANKA 1.

Od Ryczywoła, jasna gosposiu.

CYGANKA 2.

Chciałybyśmy wam przynieść wesele, gosposiu, dostatek i dobytek i wszelką szczęśliwość serca. A przysyła nas do was gospodyni Marcinowa, ot tam z drugiego końca.

RÓZIA *(porywa się z radością)*.

Marcinowa? Oj to! Czy wam mówiła, czego ja chcę?

CYGANKA 1.

A jużci. Przecież gadaliście jej nieraz, że chcecie, aby wam powróżyć, jasna gosposiu.

RÓZIA.

Ej, nietylko to! Ale słyszałam, że są pomiędzy wami takie, które wszelki zły urok odpędzić umieją, a potrafią sprowadzić dostatki i majątek.

CYGANKA 2.

A jakież to chcecie dostatki, miła gosposiu?

(Cyganki dają sobie znaki potajemnie.)

RÓZIA.

Jużci chcę mieć ładne domostwo, ogród, gdzieby rośla marchew, cebula, pietruszka; kapuśnik z głowistą kapustą, sad z gruszkami, śliwkami, a prawdziwymi węgierkami; rolę, łączkę, stodołkę, chlewiki, kilka krowin, a jedną graniastą, i cielątka i ładne koniki, porządny wózek, albo ot, lepiej bryczułkę, jak wej Wojciechowie w Kobylnicy; i ładne szmaty; i kapotę z futerkiem na zimę, oblamowaną, wyszywaną i dla Stacha cały przyodziewek. Wszak wy potraficie to, cyganki jedyne, żeby oj tak wszystko kapalo, gdyby z deszczem?

CYGANKA 1.

Ha! zobaczymy, jasna gosposiu. Już to parę razy nam się udało, bośmy właśnie na szczęśliwą godzinę trafiły.

RÓZIA *(klaszcze w dłonie radośnie)*.

Udało się! Mówiła mi o tem Marcinowa. Udało się! a może też i dziś, oj! na szczęśliwą traficie godzinę. O, moje kobieteczki kochane *(klaszcze jedną i drugą)*, jużbym o was przez całe życie moje pamiętała. A chcę mieć i na pościółkę schludne okrycie i szafę ze szkłem czerwona, i zwierciadło, jak u pani ekonomowej, i łańcuszek parę, jak to w dworskiej kuchni, i kociótek, i...

CYGANKA 1.

No spróbujemy, spróbujemy, jasna gosposiu, może się uda.

RÓZIA.

Uda się! uda! Tak mi coś szepce. O moje cyganki jedyne!

(Cyganki mrugają na siebie.)

CYGANKA 2.

Więc najprzód pięknych sukien chcecie, miła gosposiu?

RÓZIA.

A jużci, bo człek nie ma co na się włożyć.

CYGANKA 1.

To nam podajcie na pokaz najlepsze szmaty wasze, abyśmy je zamówiły i szczęśliwego przyczyniły uroku.

RÓZIA *(otwiera skrzynkę i wydobywa z niej rzeczy.)*

Otóż macie spódnice, fartuchy, chusty, kaftan z cienkiego sukna....

CYGANKA 1.

I chcecie pięknego domóstwa nowego?

RÓZIA.

A jużci, boć to tylko chłopskie.

(Rusza ramionami pogardliwie.)

CYGANKA 1.

Toż idźcie gosposienku pod strych i przynieście mi garstkę słomy z dachu, bym i na nią szczęśliwy rzuciła urok, abyście zawsze pod nowym ładniuchnym mieszkali dachem.

RÓZIA.

Zarusieńko, zarusieńko, kobieteczki jedyne. Pod samusienek strych poskoczcie. *(Wybiega pospiesznie.)*

SCENA III.

(Dwie Cyganki.)

CYGANKA 1.

Wyjrzyjno, gdzie poszła.

CYGANKA 2. *(uchyliwszy drzwi.)*

Oj, het na górę.

CYGANKA 1.

To zwijajmyż się co ducha. Dalejże! dalej!

(Zabierają rzeczy i uciekają.)

SCENA IV.

RÓZIA.

Niosę, niosę garść cała. Ale gdzież cyganki? *(ogląda się w około.)* Gdzie moje szmaty wszystkie? Skradły! uciekły! ratujcie! gońcie! *(wybiega.)*

SCENA V.

(Słychać śpiewy po za sceną.)

(Halka i Marysia.)

HALKA.

A gdzie Różia?

MARYSIA.

Poszła pewnie nie daleczko, kiedy izba była otwartą, toć i nadejdzie.

HALKA.

Ale już chyba i czas do domu.

MARYSIA.

Dopiero się zbierają. Pieśko jeszcze basetlisty nie sprowadził.

HALKA.

To i poczekajmy na Rózię.

(Siada przy przesłony a Marysia opodal na ławce.)

HALKA *(oglądając się.)*

Jaka też to schludna izdebka, Panie Boże, daj każdemu taką! Nie zacieka, kominek gdyby ułał, piecyk nie dymi, okienko widne, jest i podłoga i komórka ze zamknięciem i dołek do schowania tego i owego, mój Jezu kochany!

MARYSIA.

I wszystkiego mają pod dostatkiem i Różia pracować nie potrzebuje: szczęśliwa jej dola! Boć też to Stasisko pocziwy a porządny parobek i pracowity i dbały o wszystko, to go też pan lubi i dobrze im się wiedzie.

HALKA.

Z niego człek dobry i nie leni się do niczego, ale Różia, dziewczuszka kochana, Różia ma muchy w nosie, *(kiwną ręką i pokręca głową)* oj, powłaziły jej, powłaziły! Wszystkiego jej się czegoś zachciewa, niby jakiej pani, i z niczego nie kontenta. Panie Boże uchowaj!

MARYSIA *(z przekąsem.)*

A jeszcze jej Marcinowa głowę zawraca.

HALKA.

Jużci prawda! Boć też to filut baba, (*podnosi palec do góry*), filut na czem świat stoi, mówię ci, dziewucho.

MARYSIA.

Alboż ja tego nie wiem? Dogaduje Rózi, dogaduje, a ta ją za to anyżówka, to piofunówka, to pestkówka ucześnieć musi, jeno ją psuje i zawraca myśli.

HALKA.

A Rózi i tak już niczego nie dosyć.

MARYSIA.

Zwyczajnie kto ma wiele, jeszcze więcej pragnie. Pewnie ona idzie (*oglądając się*).

SCENA VI.

Marysia, Halka i Basia (wbiegająca szybko.)

BASIA.

A gdzieście się podziały, dziewczęta?

MARYSIA.

Czekamy tu na Rózię.

BASIA.

Już prawie zesli się wszyscy, a przede dworem, już tam zastawili i piwo, owoce i kołacze; pono i sama jejmość, matunia naszego pana, przyjechała z Korytnicy.

HALKA (*uderza w dłoń radośnie*).

O, dziękuj Bogu! to nam znowu da po wstędze jak łońskiego roku.

MARYSIA (*powstając*).

Zawszebyś chciała!

HALKA.

Ależ, bo to dobra, kochana pani! A pamiętacie, kiedy Szymonowie pogorzeli, co to im nadawała wszystkiego?

BASIA.

I kiedy Jagula szła za męża, to dostała opatrzenie, gdyby od matki rodzonej.

MARYSIA.

Dobra pani, ani słówka! Boże daj jej niebo.

HALKA.

Już też, bo i Jagula służyła jej lat tyle, a to pracowita i pocziwa dziewucha.

BASIA.

Chwalicie jejmość, a nic nie mówicie o paniczu, a to przecież jej syn urodliwy.

SCENA VII.

Basia, Halka, Marysia, Bartek.

BARTEK.

A to co? Zasiedziały się tutaj, bajdurzą sobie, a my tam czekamy. Już i Pieśko kulawego Janka przyprowadził z basami.

MARYSIA.

Czekamy tu na Rózię.

BARTEK.

A gdzie się podziała?

HALKA.

Jużeśmy jej nie zastały.

BASIA I MARYSIA.

Idzie! idzie!

SCENA VIII.

Halka, Basia, Marysia, Bartek i Rózia.

RÓZIA (*ptacze i zatamuje ręce*).

Nie masz, wie masz ich nigdzie! Biegłam za nimi przez łąkę, bo mi mówił Maciuś, że tędy biegły, ale uciekły! uciekły! o, ja nieszczęśliwa!

MARYSIA, HALKA, BASIA (*obstępują ją*).

Co się stało? Co to? Czegoż wyrzekasz?

RÓZIA (*z wybuchem płaczu*).

Cyganice mnie okradły! oszukały! zrabowały!

DZIEWCZĘTA.

O, hultajki, o ladaco!

HALKA (*biorąc ją za rękę*).

Ale jakżeż to było?

MARYSIA (*chwytając ją za drugie ramię*).

Chyba ciebie w domu nie było?

(*Różia płacze.*)

MARYSIA.

No gadajże.

BARTEK.

Mówże przecie, bo człek ani wie, jak ci poradzić.

RÓZIA (*ikając*).

Miały szczęśliwego przyczynić uroku!... bym miała dostatki... i czego tylko zapagnę...

BARTEK (*śmiejąc się*).

Ot śliczne masz dostatki; pustą skrzynekę!

HALKA (*do niego*).

Dajże jej pokój, Bartku!

BARTEK.

Oj głupie, głupie kobiety! Dziękujcie Panu Bogu za to co macie, a w żadne nie wdawajcie się czary, boć to są sprawy czartowskie.

RÓZIA (*płacząc*).

Mam też teraz za swoje... i ta Marcinowa!

BARTEK.

Po co było nadstawiać ucha tej starej pokusie? Cała wieś już poczęła gadać, że i ciebie wykieruje na takie lichy, jakim ona jest sama. Masz teraz! płacz, szlochaj, dobrze ci tak!

MARYSIA (*do Bartka*).

Ależ Bartku! Bartku! ona już dosyć sturbowana, biedaczka.

BARTEK.

Po cóż jej tam z cygankami jakieś konszachty i czary. Nasz dobrodziej natarłby jej uszów za to dobrze. Gdyby takie cyganice umiały napędzić dostatków, tożby same dla siebie najpierw zrobiły i nie tułały się marnie po świecie, bez odziewku i o żebranym albo kradzionym chlebie. Oj głupia, głupia kobieto!

MARYSIA.

To też ukarana srodze nieboga.

SCENA IX.

Halka, Basia, Marysia, Bartek, Różia, Stach.

STACH (*niesie tobił rzeczy i rzuca je na stół*).

Ot masz! A podziękuj Panu Bogu, żeś wszystkich szmat nie postradała.

RÓZIA (*dobiega i ogląda z radością, wszyscy ją otaczają*).

O moje sukienki! o moje fartuszki! o moje chusty kochane; mój Jezu, mój Jezu, przecież mi się wróciły!

BARTEK.

To istne szczęście i Opatrzność Boża! Jakżeś ty odzyskał te szmaty?

STACH.

Widzisz człeku, ot tak. Jechaliśmy z panem przez pole, a tu mignęły cyganice z tobołem. Pan mówi: "Pewnikiem te włóczęgi co we wsi pokradły, gośmy za nami!" Jak też zatnę konie, jak popędzę, to jeno świszczą za nami. Dopędzamy urwiszów, i ja ot od razu poznaję szmaty mojej Rózi. Boć przecie je znam i wiem (*wszyscy mu potakują*). Nuż więc na nie! O, wy hultajki! oj wy złodziejki! A cyganice się tłómaczą, że im kobieta sama wszystko oddała, bo żąda piękniejszych sukien; (*Różia twarzą fartuchem zakrywa*) że one mają szczęśliwego przyczynić uroku; że kobieta moja chce domostwa nowego, roli, ogrodu, sadu, bydełka, koników i Pan przenaświętwszy wie, czego tam wszystkiego! A! raczej wie lichy, istne lichy, boć to jeno złe duchy takie podszeptują zachcianki, a człeka poczciwego aż mrowie przechodzi. Pan kazał cyganicom rzeczy odebrać i nakazał surowo, by we wsi nie pokazywały się więcej. Gdyby nie pan nasz, wszystko byłoby przepało.

RÓZIA (*zalamuje ręce.*)

Mój Boże! mój Boże! Co to ja za głupia kobieta by-
łam. Daj Boże zdrowie naszemu panu.

STACH.

To więc widzisz. Nie żądaj nad miarę i kontentuj
się tem, co masz z Bożej woli. Módl się i pracuj. Dzień-
kuj Bogu, że nam dał pocziwego dziedzica, co dba o
naszą dolę —

(*Słychać Krakowiaka po za sceną.*)

A teraz, oj, zaśpiewajmy sobie i ponieśmy plon do
domu.

(*Stawając przed Rózią, śpiewa:*)

Dziękuj Panu Bogu za to czem cię darzy,
Pomódl się i pracuj — tak uczyli starzy.

BARTEK (*także do Rózi:*)

Chodź kole swojego, miej starunek w domu,
Bądź wesołej myśli, nie zajrzyj nikomu,
Bo kto więcej żąda, jak ma z woli Bożej,
Utraci co dostał, a smutków przyspoży.

RÓZIA.

Znać mnie źle skusiło, zbytków się zachciało,
To mnie też za chełwość dobrze nakarało.

SCENA X.

*Halka, Marysia, Basia, Bartek, Rózia, Stach, Piesko (a za nim
gromadka wieśniaków).*

PIESKO.

Kajżeż u licha wszyscy siedzicie? Czekamy, a cze-
kamy, i Wojtek zyzoli i Tomek rzempoli, cała gromada
wyspiewuje, a was nie widać i nie widać! Ślicznie mi
tu, oj, sobie zasiedli, gwarzą sobie, niby o żelaznym wilku,
a ludziom pocziwym czekać kazali.

WSZYSCY.

To więc chodźmy, chodźmy!

HALKA (*wysuwa się naprzód i śpiewa:*)

Zboże już pożęte, ziarno wymłóćmy,
By je spożyć zdrowo, Boga uprosimy.

MARYSIA.

Zaniesiem do dworu obfity plon z pola;
Złote kłosy zbierać, szczęśna czteka dola.

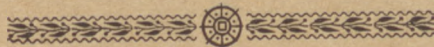
STACH.

Uprawiajmy zagon, kochane chłopczęta,
Kto pracować lubi, o tym Bóg pamięta.

WSZYSCY.

Uprawiajmy zagon, kochane chłopczęta,
Kto pracować lubi, o tym Bóg pamięta.

(*Zastona spada.*)



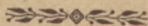
BATOŻEK.

KOMEDIA W DWÓCH AKTACH,

ułożona na tle życia Kościuszki

— przez —

A. KORZENIOWSKIEGO.



OSOBY:

Antoś i Funia, dzieci siodlarza Jana. Tomaszek, Karolek, Tadzio i Zosia, dzieci rzemieślników i mieszczan. Marcelek, syn bogatego obywatela.

Rzecz dzieje się w Warszawie r. 1794.

AKT I.

Sklep siodlarza Jana biedny, opuszczony; kilka rzemiennych rzeczy, okrytych pyłem, wisi na kółkach. Antoś siedzi przy warsztacie i plecie batożek.

SCENA I.

ANTOŚ (przerywając robotę).

Nigdy go nie skończę, ręce mi drżą, jak we febrze. Bez tatki rady sobie dać nie mogę. Mój dobry Boże! czemu mnie już wielkim nie zrobisz? Czemu ja nie tak silny i nie tak zręczny, jak nasz czeladnik, co nas opuścił, perzucił? Dałbym wszystkiemu radę! O tatce ani słuchu, od kiedy namówiony przez pana majstra Kilińskiego wyruszył z sąsiadami do Kościuszki. Grosza nie ma w domu... Matula chora...

(Po chwili).

Kiedy ja ten batożek skończę?... Panicz, co go każał upleść, ma dziś przyjść po niego i zapłacić. Jak zobaczy niezdatną robotę, gotów nie wziąć i pieniędzy nie

dać! Matko Boska! pomóż mi! Ja nie dla siebie, ja dla mej matuli proszę. O Matko Boska nasza.

(Pracuje gorliwie. Wchodzi Funia i na palcach zbliża się do Antosia).

SCENA II.

ANTOŚ i FUNIA.

ANTOŚ (sposprzegając Funię).

A co matula?

FUNIA.

Śpi teraz.

ANTOŚ.

Chwała Bogu.

FUNIA.

Za wszystko Bogu chwała, jak nas matula uczyła. Ale jaki to sen, pożał się Boże! Twarz biała, oczy niezupełnie zamknięte; rękami rzuca, czasem je jak do modlitwy złoży i krzyż w powietrzu zrobi, jak to nad naszymi głowami zwykle czyni.

ANTOŚ.

Kochana matula!

FUNIA.

Gdzieś tam serce jej cierpi, nie śpi i czuwa nad nami; bo przemówi we śnie czasem, a głos taki słodki, taki słodki, że oglądam się na obrazek, czy to nie Częstochowska przemówiła. W niebie tylko taki głos być może! Jak powie przez sen: Funiu! Antosiu! to mi łyż gwiałem do oczów się cisną i szlochać się chce, a boję się i uciekam do ciebie (ptacze).

ANTOŚ.

Nie płacz, Funieczko! Bóg taki dobry, tata i matula tacy poczciwi, toż i oni mają zapewne łaskę u Boga. On nas i ich nie opuści. Otl! widzisz, nie łaskaż to z nieba, ja co nie umiałem przy tatce nic zrobić, teraz patrz... (pokazuje jej batożek) jaki siarczysty batóg plotę. Matuli mej pracy potrzeba, to Bóg mnie pracować nauczył.

FUNIA.

Tem bardziej mi smutno. Widać ja nie mam łaski u Boga, kiedym do niczego, kiedy ani tobie, ani matuli pomódz nie mogę w niczem.

ANTOŚ.

Grzech tak mówić, Funieczko! A któż ciebie nauczył, jeżeli nie Pan, abyś, jakby już dorosła, tak czuwała, tak pielęgnowała chorą matulę. Ty nie śpisz, modlisz się! na skinienie matuli jesteś ciągle; ja nie śpię i pracuję. Jak ojciec powróci, powie: Dobre dzieci?

FUNIA.

Ale kiedy powróci i czy powróci?

ANTOŚ.

Jeszczeby! A czemużby nie miał powrócić?

FUNIA.

A jak go Moskale gdzie zabijają?

ANTOŚ *(zrywa się od warsztatu)*.

Jak to być może, żeby Moskal mógł Polaka zabić! Wszakżeś widziała, jakto oni uciekali, gdy we wielki czwartek pan majster Kiliński i różni rzemieślnicy ich z Warszawy pędzili! A tatko teraz przy panu Kościuszcze, co to powiadają ma takie czary, że z każdego człowieka żołnierza zdolnego robi, a wszystko, co pod ręką ludziska mają, w broń niezwalczoną zamienia.

FUNIA.

Słyszałam o tem. Ale nim tatko powróci, matula bez pomocy, a taka chora! Nuż jej się uprzykrzy i odejdzie do Boga!

ANTOŚ.

Wstydz się Funiu! Matula nie zechce dzieci swoich opuścić.

FUNIA.

Biedni my, biedni, i matula i my! Już od wczoraj kawałka chleba nie ma w domu; leków dla matuli niema!

ANTOŚ.

A zapomniałaś, co ksiądz od fary nam mówił: "Kogo Pan Bóg stworzy, tego nie umorzy". Nie płacz Funieczko! Przecież ja mężczyzna. Nie dam zginąć wam. Ot *(bierze batozek)* batozek ukończę; panicz przyjdzie, bo obiecał; zapłaci dziesięć złotych i będziemy mogli tego ziela kupić, co doktor powiada, że podźwignie matulę z łóżka.

FUNIA.

A może, może ten panicz, gdy zobaczy, że my tacy biedni i tacy mali przy matuli chorej pracujemy, to przyrzuci co jeszcze i cytrynę dla matuli będziemy mogli kupić.

ANTOŚ.

I to być może, ale to niepewna. Bogaci nie wiedzą, co nędza, co bieda, gdzie im jeszcze myśleć o nas! Ale gdy bardzo kontent będzie z batozka, to może co na piwo mi da: bo to podobno już ich zwyczaj taki, kiedy zadowoleni z biednych, to dają im pieniądze na napój.

SCENA III.

*Ciż sami: KAROLEK, TADZIO, ZOSIA, TOMASZEK.
(Wbiegają z krzykiem i hałasem).*

ZOSIA.

Funiu! Funiu!

KAROLEK.

Chodźcie! chodźcie!

TADZIO.

Tylko prędko! prędko! Bo przejdą — nie dogonimy!

TOMASZEK.

Śliczności! Śliczności! Chodźcie! Chodźcie!

ANTOŚ.

Dokąd? po co?

FUNIA.

Nie hałasujcie! Matula chora, obudzicie ją. Nie hałasujcie!

TADZIO.

Teraz wszyscy zdrowi być powinni!

FUNIA.

Cicho, Tadzio! Wszak i ty kochasz swoją matulę i płakałbyś, gdyby jej ktoś przykrość zrobił.

ANTOŚ.

Ależ mówcie, tylko nie tak głośno, czego biegacie po ulicach? Co się stało? Czegoście tacy zadowoleni?

ZOSIA.

Nasi idą! nasi przyšli! I mój tatko, i twój i jego — wszyscy.

ANTOŚ I FUNIA.

A nasz? a wasz?

ZOSIA.

A i wasz jest zapewne. Ale gdzie tam na kogo patrzeć, kiedy na siebie oczy zwraca ten, co na przódzie jedzie. Chodźcie, chodźcie! Zobaczącie Kościuszkę.

TADZIO.

Jaki konik tęgi pod nim! Idzie, jak na powietrzu, oczy mu świecą, rozgląda się po ulicach, ale to jak człowiek! Uszami strzyże i ciągle parska, a ludziska wrzeszczą: "Na zdrowie! na zdrowie"! Ogon jak czub! A taki śliczny, że u żadnej pani na głowie takiego nie widziałem.

ZOSIA.

Konik piękny, dzielny, żywy — prawda. Ale on na nim jeszcze piękniejszy! On? Ach! Funiu, on taki—taki, że mimo woli do Boga się wzdycha, aby do niego tatko lub brat był podobny.

TOMASZEK.

Bo szabla brzęczy! Bo to ładownica na nim połyska! Bo to czapka na bakier, zdaje się ot, ot w górę polec! A ostrogi świecą u butów. Gdy się poruszy, to i wojsko ten sam ruch powtórzy. Gdy skinie, to się wszystko wojsko i lud pochyli. Jak to kiedyś widziałem na polu kłosa się chyliły, gdy wicher przeleciał.

ZOSIA.

A jak patrzy! jak patrzy na nas, na cały lud, co się cśnie mu do nóg! Tak patrzy, jak kiedyś widziałam, mój starszy brat na swoją narzeczoną patrzył, gdy szli od ślubu. Gdyby ludzie tak ciągle na siebie patrzeć mogli, to przedkoby wszyscy ze szczęścia pomarli i staliby się aniołami.

ANTOŚ I FUNIA.

To pewno Kościuszkę! Pewno Kościuszkę!

TOMASZEK.

A jużci nie kto inny. On tylko jeden może być tak od wszystkich kochany! Czy wy wiecie, że gdy on stąpa po kraju, to ludzie mu, do orszaku, jak z pod ziemi rosną; każdy rzuca dom żonę, dzieci...

ZOSIA.

Bo on ich do dobra wszystkich prowadzi.

FUNIA.

I nasz tatko tak mówił, kiedy nas porzucał; bo powiedział, że my i matula i tatko nawet to nic, gdy o wszystkich chodzi.

TOMASZEK.

Mówią, że on czarodziej, pan Kościuszkę. Że ma takie dwa słowa, że jak je powie, to wysokie się chyli a niskie wyrasta. Poczekaście, przypomnę sobie...

WSZYSTKIE DZIECI.

Przypomnij, przypomnij i powiedz! To i my taką moc mieć będziemy, jak Kościuszkę.

TOMASZEK.

Ojczyzna i ofiara!

KAROLEK.

A toż to nam powtarzać te wyrazy jak pacierz, bo mój tatko tłumaczy, że chociaż trudno, abyśmy Kościuszkami byli wszyscy, ale te wyrazy złożą z nas siłę, którą pan Kościuszkę wojuje.

WSZYSTKIE DZIECI OPRÓCZ FUNI.

Chodźmy krzyżeć około niego te czarodziejskie słowa. Chodźmy, chodźmy!

(Wybiegają ze sklepu. Antoś porzucił batożek i za nimi chce wybiec).

SCENA IV.

ANTOŚ I FUNIA.

FUNIA (zatrzymuje brata).

A tyś zapomniał, że tatko do tych wyrazów pana Kościuszkę dodawał trzeci jeszcze: Poczciwość!

ANTOŚ *(spiesząc)*.

Nie zapomniałem, nie. Puszczajże, niech to przypomnę kolegom!

FUNIA.

Ale czy sam będziesz poczciwy, jak porzucisz matule, batożka nie dokończysz, ziela dla matuli nie kupisz?

ANTOŚ.

Ależ Funiu — To Kościuszko!

FUNIA.

Gdybyś był dorosłym, jak tatko, to jabym ciebie nie zatrzymywała, jak matula ojca nie zatrzymywała.

ANTOŚ.

Tyś mądra dziewczyna, Funiu, i poczciwa bardzo. Dziękuję tobie i kocham cię jeszcze więcej. Idź do matuli, ja zostanę przy batożku, bo to obowiązek, a obowiązek to godność nas, biednych ludzi. *(Funia wychodzi)*.

SCENA V.

ANTOŚ *sam*.

ANTOŚ *(pracuje i kończy batożek)*.

Przecie! Jakoś mi poszło dobrze. Widać Bóg nagroził, zem się przyjemności wyrzekł. *(Trzaska biczykiem)*. Tęgo! ślicznie! Chyba ten panicz bardzo wymyślny, gdy nie będzie zadowolony. Aż żal ten batożek oddawać. Oj, tobym nim sztuk dokazywał. Aj! aj! Gdybym ja był na miejscu tego panicza, a dla mnie kto biedny taką przyjemność zrobić, dałbym mu.... dałbym.... aż dukata i jeszcze kilka groszy. Już i nasz dawny czeladnik nie lepszego by nie sporządził. Batog na urząd, co się zowie! *(Po chwili)*. Możeby teraz mógł pójść do pana Kościuszki? Co? A nuż pójde. Bo nasze przekupki powiadają, że do takiego człowieka i pomodlić się nie grzech. A pójde. *(Po chwili)*. Nie. Lepszą mam rozrywkę. Pójde zobaczyć matule; może się obudziła, może mi co powie dobrego, że aż wyrosnę! *(Wchodzi do pokoju matki)*.

SCENA VI.

MARCELEK, *później* ANTOŚ.

MARCELEK *(wchodzi w czapce, rozgląda się i czapki nie zdejmując)*.

Nikogo nie ma. Jak tu brudno. Wszędzie zawałać

się można. Wszyscy ci rzemieślnicy jacyś niegrzeczni ludzie. Zapach przykry — coś czud! Nikt nie przychodzi... Cóż to? Czeakać na siebie każą? Zawołam lokaja, aby ich odszukał i powiedział im, że źle służą i już nigdy roboty im nie dam. A może sam krzyknę... *(wola)* Hej! jest tam kto?... hej!

ANTOŚ *(wybiegając z pokoju matki)*.

Niech pan tak nie krzyczy.

MARCELEK.

A ty jak śmiesz mi rozkazywać?

ANTOŚ.

Ja proszę tylko. Matula nam chora i spoczywa, ot tam w komorze.

MARCELEK.

To mógłbyś grzeczniej prosić.

ANTOŚ.

Co, to paniczu, grzeczniej? Tatko mi mówił, że prawda zawsze grzeczna, a to prawda, że matula chora i że panicz tak wrzasnął, że aż mię ciarki przeszły, aby matula się nie obudziła.

MARCELEK.

Batożek gotów?

ANTOŚ.

Gotów, proszę panicza.

MARCELEK.

Pokaż go.

ANTOŚ.

Oto jest. Staralem się koło niego, aby mi panicz darmo nie płacił. Swiszczy siarczyście! Trzaska jak z pistoletu! Niech panicz spróbuje. *(Podaje batożek Marcelkowi)*.

MARCELEK.

A jakie brudne ręce! Mógłbyś je umyć, kiedy masz co komu podawać.

ANTOŚ.

Nie miałem czasu się optukać, tylko co skończyłem robotę. Niech panicz spróbuje.

MARCELEK (*próbując batożka*).

Batożek dobry. Trzaska wyśmienicie, świszczy nie źle. Ale żeś był niegrzeczny dla mnie, więc go nie wezmę.

ANTOŚ (*przestraszony*).

Ach! paniczu mój złoty!

MARCELEK.

Na drugi raz będziesz miał rozum.

ANTOŚ.

Mój paniczu najmilszy!

MARCELEK.

Będziesz wiedział, co grzeczność.

ANTOŚ.

Będę, będę paniczu! Przepraszę, jak zechcesz. Do nóg upadnę. Tylko weź robotę. Tylko zapłać mi za nią.

MARCELEK.

Dobrze u nas mówią, że ci biedni bardzo na pieniądze chciwi. Wstydź się!

ANTOŚ.

Prawda. Chcę tych kilka groszy; to pierwsze moje zapracowane. Tatko mówi, że pierwszy grosz zapracowany, to pierwsze błogosławieństwo Boże. Ja chcę mieć swój zarobek.

MARCELEK.

Chcę!? No, proszę! On mnie rozkazuje! Obedrzed gotów!

ANTOŚ.

Ależ to na ziele dla chorej matuli! Ależ ona umrze, jak ja tego ziela nie kupię! O! mój paniczyku kochany! Łaj mnie, wymyślaj, uderz, jeżeli zawiniłem, ale nie odmawiaj zapłaty. Tam matula słabuje, Funia tam płacze, a ojca nie ma, nikogo nie ma.

MARCELEK.

A co mi do tego? Byłeś niegrzeczny, muszę cię rozumem nauczyć. Tatko powiada, że my was wychowywać powinniśmy.

ANTOŚ.

Srebrny, złoty, dobry paniczu! Ja całe życie wdzięczny ci będę! Ja się modlić za ciebie nie przestanę! I matula moja, jak oprzytomnieje i podniesie się z choroby, za was i za waszą matulę prosić Boga będzie. O! mój paniczu! (*klęka przed nim*).

MARCELEK.

Dałem sobie słowo honoru, że batożka twego nie wezmę, muszę dotrzymać (*rzuca mu pod nogi batożek*). Bywaj zdrow. — A na drugi raz grzeczniejszym bądź.

(*Marcelek wychodzi. Antoś jak oślepiały klęczy przez chwilę*).

SCENA VII.

ANTOŚ sam.

ANTOŚ (*zrywa się*).

Pan Bóg większy pan od ciebie! Pan Bóg lepszy od każdego pana! Pan Bóg ma więcej pieniędzy od bogatych — niech tobie nie pamięta! Nie kochasz ty zapewne swej matuli, kiedyś mojej poratować nie chciał. Idźże sobie. Prawda, nauczyłeś mnie rozumu. Teraz wiem, że tylko Bóg dobry sierotom i biednym nie odmawia. Niech się tylko pomodłę, a zobaczysz, że mimo ciebie On mnie pocieszy i poratuje.

(*Chwilę milczy, jak gdyby się modlił. Za sceną słychać ruch ludzi i okrzyki: "Niech żyje pan Naczelnik!" Antoś na te odgłosy jak gdyby się ocknął*).

Wszyscy biegają, krzyczą, weseli. radzi! Pójdę między ludzi, tam takie szczęście, że jak kogo o co poproszę, pewnie mi nie odmówi. Tam ich tylu, a wszyscy podobni do mego ojca. Jak im opowiem, to przybiegną. Jak wyciągnę rękę, dadzą jałmużnę. (*Idzie i zatrzymuje się nagle*). Nie, tatko mówił, że człowiek zdrow i silny nie ma prawa żebrać. Mówił też, że tylko praca ratuje (*chwyci za batożek*). A to moja praca. Niech mnie ratuje. Jam płakał, gdy spletałem ciebie. Ratuj mnie. (*po chwili*). To Bóg mi myśl zsyła! Pójdę. — A nuż ten Kościuszko spojrzy na mnie tak, jak Zosia mówiła, wtedy tyle szczęścia przyniosę do domu, że wszystko dobrze będzie. (*wybiega z batożkiem*).

(*Zastona spada*).

AKT II.

SCENA I.

ZOSIA, TOMASZEK, TADZIO, później KAROLEK.

TADZIO.

Ależ tu jasno! Ależ tu pięknie! Ależ to jak w kościele!

TOMASZEK.

Co tu siodeł! Co tu trezli! Co tu batogów! Gdyby był koń, tobym zaraz kulbaczył, zaraz siadał i jechał do pana Kościuszki!

ZOSIA.

Nie ruszajże tylko nic. Stary pan Jan tego nie lubi, a jego trzeba słuchać i dogadzać jemu, bo powiadają, że on się bardzo dla wszystkich zasłużył.

TOMASZEK.

Wielka sztuka zasłużyć się przy Kościuszcze! Dajcie mi dziesięć Moskali, a niech tylko pan Kościuszko patrzy na mnie, to im wszystkim się nie dam, a jeszcze pobije ich.

TADZIO.

Ależ tu pięknie aż strach! Pan Jan jest zapewne jak król bogaty.

ZOSIA.

A dni kilka temu, pamiętacie! gdy pan Kościuszko wchodził do miasta, jaka to była bieda. Pani Janowa słabowała, pana Jana nie było, Funia we łzach marniała, a Antoś tylko udawał, że jeść nie chce.

TADZIO.

Niezawodnie jaka zabawa tu będzie, że tak się przystroili.

TOMASZEK.

I po nas wszystkich poszali.

ZOSIA.

A mnie matka wyprawiając, mówiła: "Idźcie do Antosia i Funi, tam wielkie szczęście Bóg dał za poczciwość. Uciecie się od nich i od rodziców, jak trzeba żyć na świecie".

TOMASZEK.

A mnie tak samo tatko przestrzegał.

TADZIO.

I mnie coś mówili, ale ja tak się wyrwałem, że dobrze nie pamiętam. Nic to nie szkodzi. Ja choć czego nie wiem, to będę patrzeć, co Antoś i Funia robią i tak samo robić będę.

ZOSIA.

Ale z kąd państwo Janowscy takich skarbów dostali?

TOMASZEK.

A cóż? Zapewne wszystko przy panu Kościuszcze, bo tatko powiada, że przy nim człowiek jakoby w chwale niebieskiej. A w niebie pewno na dostatkach nie brak.

ZOSIA.

Karolek wie, jak się stało. Obiecał nam opowiedzieć.

TOMASZEK.

Już i on powinien tu być.

TADZIO.

A! ot idzie, idzie!

(Wchodzi KAROLEK; wszystkie dzieci go otaczają).

ZOSIA.

No! Jakże to było?

TOMASZEK.

Ty podobno sam widziałeś?

KAROLEK (z zapalem).

I widziałem! I słyszałem! I śmiałem się! I płakałem! Bo wy nie wiecie; wyobraźcie sobie.... ludu jakby maku nasiał! pułki idą, muzyka gra, dzwony biją! W każdym oknie i na każdym pięttrze tylko głowy widać, tylko ręce klaszczą!... Aż strach!...

TOMASZEK.

Ależ my to samo widzieli.

KAROLEK.

Prawda, i wyście widzieli; nie to miałem opowiadać.

Wyobraźcie sobie pan Kościuszko w białej sukmanie na koniu przodem... Koń szuka bruku, a znaleźć go nie może, bo ludziska tyle tam kwiatów pod kopyta mu rzućili. Pan Kościuszko ręką się kłania, a poważnie spogląda. Na jego oczach, jak matulę kocham, jak tatkę kocham, w oczach dwie takie duże, jasne łzy stoja, że mógłby nimi, jak święconą wodą, cały lud pokropić.

TOMASZEK.

Ot, niedarmo syn zecera. W książkach siedzi, to później gdy gada, w oczach mu druk staje i mówi jak drukowany.

KAROLEK.

No, no, nie kpij ze mnie. Już to prawda, że ja taki. Jak co przyjdzie opowiadać, myśli mi po głowie jak zające skaczą, a czegoś się roglądam, chciałbym razem widzieć i ziemię i ludzi i niebo i — aż do Pana Boga bym frunął! No, nie wiem jak się stało, że raptem pan Kościuszko się zatrzymał i wszyscy stanęli tak nagle, żem sobie przypomniał historję świętą, jak Bóg żonę Loty w słup soli zamienił. Bo tak wszyscy stanęli nieruchomie, jak skamienieli i cisza taka nastąpiła, że muchę, co leci, słyszeć można było. Spojrzę. Aż oto nasz Antoś przed koniem pana Kościuszki rezolutnie stoi, tylko że był bardzo błady. Widzę, batożek wyciąga, a pan Kościuszko dobrotliwie się pochyła na szyję konia. Wtem, mówię wam, że tak było cicho, jak gdyby nikogo na świecie nie było. Wtem słyszę, Antoś woła: "Panie Naczelniku! Panie Naczelniku!" Aż pan Kościuszko pyta: "Czego chcesz dziecko moje?" Widać na głos takiego wielkiego człowieka Antoś już przytomność stracił i chciałby przemówić, a słowa grzęzną mu w ustach, i tak chwilę mocując się z sobą, stoi milczący. Aż mnie złość porwała, a żal się go zrobiło. Więc wrzasnę z okna: "Wstydz się Antku! tchórzysz! co?" — Powiem wam, jak koń zacięty biczem, rzucił się nasz Antoś i słyszę jak mówi: "Ja się nie boję, ja nie tchórzę! Żli tylko boją się pana naczelnika. — Ja syn Jana siodlarza, pan Naczelnik pewno zna go, syn tego Jana, co to pomagał panu Kilińskiemu! Ja bardzo biedny! Oto batożek, sam nie umiejąc prawie, tylko z Bożą pomocą sporządziłem go. Matka złożona chorobą, mała siostra taka śliczna, żeby pan Naczelnik wiedział, płacze, aż serce się kraje. Batożka nie chcą przyjąć na obstalunku... A tu chłodno! głodno! Ziela na leki dla matuli nie ma kupić za co. Wszyscy ludzie dobrzy, ale pan Naczelnik pewno najlepszy! Jak on nie kupi batożka, to już chyba Bóg go kupi. Proszę pana Naczelnika

wziąć go. Jabym darował, ale Bóg świadek, że mi konieczne tych kilku złotych dla matuli potrzeba. Weźcie go panie naczelniku! Weźcie a zapłaćcie, bo mi bardzo smutno i straszno". A jak ryknie płaczem, aż lud sobie płakać zaczął. A pan Kościuszko wziął batożek w ręce, Antosiowi dał dwa dukaty, a obróciwszy się do otaczających rzekł: "Kto mię kocha, zamówi taki batożek u tego małego majstra". No, co?

ZOSIA.

Cóż dalej?

KAROLEK.

Antosia pochycili oficerowie i obywatele między siebie, wzięli go na ręce i odwieźli do domu; a tyle zamówień na podobne batożki zrobiono, że pan Jan nastarczyć nie może i już ma majątek.

WSZYSTKIE DZIECI.

Oto Antoś szczęśliwy!

KAROLEK.

A bo i pocziwy.

ZOSIA.

Mogą się cieszyć jego rodzice. gdy Bóg ich tak nagradza pociechą z dzieci!

TOMASZEK.

Oto wiecie co? Ja co myślę ciągle bić się i wojować widzę dobrze, że i bez tego można pięknie się zasłużyć. A otóż Antoś i Funia. Któż to jeszcze z niemi?

SCENA II.

Ciż sami, ANTOŚ, FUNIA, MARCELEK.

WSZYSTKIE DZIECI.

Antosiu! Funiu! Jacy wy szczęśliwi! Jak my was kochamy!

ANTOŚ *(biorąc za rękę Marcelka).*

Pokochajcież i jego, bo to nowy nasz przyjaciel.

KAROLEK.

A więc i jego kochać będziemy. Im więcej, tem lepiej. Ale najwięcej was — pocziwych!

FUNIA.

Nie nasza to zasługa, żeśmy tacy, bo i Bóg nas tak stworzył i rodzice nauczyli być takiemi. A on sam się domyślił, że źle zrobił; sam pożałował i sam poszedł do nas z wielkim wstydem.

WSZYSTKIE DZIECI.

A cóż on zrobił?

FUNIA.

A jeżeli nie wiecie, wiadomość ta wam niepotrzebna. Wiedźcie tylko, że to nasz przyjaciel i kochajcie go, jak nas kochacie.

MARCELEK.

Ja nie chcę mieć przywiązania darmo. Nie chcę nikogo oszukiwać. Źle zrobiłem. Myślałem, że wszyscy mi dogadzać, że wszyscy służyć mi powinni. Przebaczenie mi, bo dosyć sam już się napłakałem!... Nikt nie widział mego wstydu, gdy opowiadano u moich rodziców, opowiadano ze łzami w oczach historię Antosia i jego batożka. A ten batożek ja odrzuciłem dla dogodzenia gniewowi niesłusznemu. Ja odrzuciłem ten batożek, który przywiązanie do matki pletło, który wytrwała praca uświęciła, a poczciwy uczynek zapłatą mu być miał. Odrzuciłem, a ci, co opowiadali tę historię, nie wiedzieli mego nazwiska, lecz Bóg je wiedział. Bóg mój żal zobaczył i myśl mi dobrą zesłał. Poszedłem do rodziców Antosia, przeprosiłem ich, a wiem, że i Pan Bóg mi przebaczył, bo oni mi pobłogosławili, a błogosławieństwo ich to przebaczenie Boże!... Teraz przy was wszystkich przeproszam Antosia i Funię, przeproszam was i wszystkie polskie dzieci, którym złemi być nie wolno.

WSZYSTCY.

Przebaczamy! przebaczymy! Kochamy! kochamy!

MARCELEK.

Pozwólcie więc mi pozostać między wami i podzielić się szczęściem dzieci tych ojców, którzy za nas wszystkich walczyli.

KAROLEK.

Zuch chłopiec! Pięknie mówi.

TOMASZEK.

A ty zaraz myślisz, że z twego cechu, że także syn zecera.

KAROLEK.

A, potroszę. Bo co ojcowie zecerowie układają, to on czyta, więc trochę jest ich dzieckiem.

MARCELEK.

Ich dzieckiem trochę — ale waszym bratem zupełnie.

FUNIA.

Radość więc i szczęście i zgoda! Tatko powiada, że gdyśmy śmiecie nieprzyjacielskie z Warszawy wymietli, to i zabawić się godzi. A! Otóż i muzyka!

(Wchodzi muzyka i jeszcze kilkoro dzieci płci obojej).

Ot i reszta towarzyszy. — Zapraszam do tańca!

TADZIO *(do muzyki).*

A no, grajcie grajki! A tylko od ucha, jak mówi dziadunio, kiedy się weseli.

(Muzyka gra krakowiaka. Funia z Marcelkiem w pierwszej parze; inne dzieci parami za nimi zaczynają tańczyć.)

Zastona spada).



Młodzieniec i Dziadek.

(Kazimierz Brodziński.)



MŁODZIENIEC.

Dziadku! gdzież tu dostać chleba?

DZIADEK.

O! po chleb rano wstać trzeba,
Bo droga przykra i długa:
Najlepiej ująć się pługa;
Za pługiem będzie chleb znojony,
Ale zdrowy i spokojny.

MŁODZIENIEC.

Gdzież tu są, dziadku, zabawy?

DZIADEK.

Sześć dni drogi do nich będzie:
Sześć dni obchódz twoje sprawy,
Dom i przyszłość miej na względzie
Zysk obrachuj; potem śmieje
Hasaj sobie przez niedzięle.

MŁODZIENIEC.

Gdzież tu znaleźć przyjaciela?

DZIADEK.

Tego tylko los udziela;
Nie złowisz go wędą złotą,
Ni talentem, ani cnotą.
Kto w czas zyskał przyjaciela,
Pociech i troski spółnika,
Niech z pełni serca wykrzyka!
Bo jako powietrza ciała,
Tak duszy trzeba udziału.
Kto będzie w słowa oszczędny,
Tobie otwarty, a względny;
Jeżeli, nie wiedzieć czemu,
Tęskno ci będzie ku niemu;
Gdy i milcząc, tobą władnie,
Skryty twój smutek sam zgadnie;
Kiedy zię i dobro swoje,
Z tobą rad święcić łązajną!
Jeżeli, poświęcenie twoje,
Przyjmie jako rzecz zwyczajną:
Wykrzyknij, pełen wesela,
Zo znalazłeś przyjaciela!

MŁODZIENIEC.

A gdzie też tu miłość mieszka?

DZIADEK.

Gdzie różana wiedzie ścieżka,
Tam chodź, tęsknij i myśl o niej;
A wnet cię przedmiot dogoni
Jaki sam sobie wymarzysz.
Będzie też to dusza sama,
Mądra, czuła i wesola;
I coś jeszcze nad anioła.
Ale to nie twój towarzysz,
To jest bańka twego tchnienia;
Bóstwo, które tworzysz sobie,
Niewcielone, umrze w tobie.
Gdyś stworzony, syn Adama,
Szukaj, tak jak ty, stworzenia;
Nie trać czasu na ofiary
Dla utworu własnej mary.

Tam, gdzie w gospodarnej chatce,
Widać kwiaty u podwórka;
Gdzie pomocna swojej matce,
Nie zbyt głośna mieszka córka:
Tam bądź wesoly, a greczny;
Mniej natrętny, a stateczny;
Szczery bądź mową i okiem,
Nic nie dodaj, nie ukrywaj!
Ni własnych marzeń urokiem
Zalet lubej nie odziewaj;
Jej nie zawódź, ani siebie.
Bo, jak ogień błyszczący z siebie,
Tak miłość sama się zdobi;
Sama lepszymi was zrobi.

Gdy litość sercem jej włada,
A ceni miękkie przyniooty;
Gdy nad strój czystość przedkłada;
Kiedy wesolej jest cnoty;
Gdy boleść sercem zrozumie,
Ale zagadnąć ją umie;
Jeżeli dbała, bez parady,
O porządek w domu matki;
Jeżeli lubi bez przesady,
Dzieci, tańce, śpiewy, kwiatki:
Szalej za nią! — to twa żona,
Z Opatrzności naznaczona.

MŁODZIENIEC.

Gdzie też tu mieszka wesele?

DZIADEK.

Dawno o niem nie slyszalem,
Mało ci o niem kto powie.
Kiedys w mlodości je znałem:
Ojcem jego było zdrowie,
Miało niewinność za żonę;
Potem, z zasługą złączone,
Dorobiło się dóbr wiele.
Dziś podupadłe, w niedoli,
Chyba gdzie z dziećmi swawoli.

MŁODZIENIEC.

A gdzie też tu mieszka cnota?

DZIADEK.

Skryła się za swoje wrota,
Oddawna samotnie żyje;
Obdarli ją ludzie podli:
Z żalem przed światem się kryje,
Tajnie za wszystkich się modli.
Byłaby nagrodą sobie,
Spokojna czystem swem tchnieniem
Lecz teraz żyje w żałobie,
Bo ludzkim cierpi cierpieniem.

MŁODZIENIEC.

A gdzież tutaj szczęście będzie?

DZIADEK.

Nie tędy do niego droga.
Pytają o niego wszędzie,
Ale nieznanie nikomu.
Odszedłeś go w ojców domu,
A nie znajdziesz, aż u Boga.
Cichym bądź w sercu i w mowie,
W cnych czynach szukaj wytchnienia;
Z resztą zapytaj sumienia:
Umie po polsku, toć powie.

MŁODZIENIEC.

A gdzie też tu wiara mieszka?

DZIADEK.

Jeżeli nie wiesz od matki,
To ci pokażą ją działki:
Najprościejsza do niej ścieżka,
Nie pytaj o nią szczęśliwych,
Ani mędrców tego świata;

Szukaj jej w miłości brata,
W czynach i uczuciach tkliwych:
A kiedy cię wszystko zdradzi,
Ona, w nieszczęśliwym stanie,
Sama wyjdzie na spotkanie;
Do domu cię zaprowadzi.



V. Z PÓL SŁOWIAŃSKICH I WIERSZE RÓŻNEJ TREŚCI.



Czechom

w dniu otwarcia teatru narodowego w Pradze.

(Wł. Betza.)

Mówią, że kiedy przez próbę płomienia,
Przejdzie duch ludzki, a wyjdzie z niej cało,
To już na wieki i na pokolenia
Przyświecać będzie niezatartą chwałą,
I takiej chwały, co mu czoło krasi,
Woda nie zdławi, ani wiatr nie zgasi.

O Czesi! wyście przez owe płomienie
Szli wieki całe, skazani na zgubę...
Za wami huczał straszny głos "zniszczenie,"
Przecież zwycięzko przebyliście próbę,
I dziś potężni, silni, odrodzeni,
Na nowe życie wstajecie z płomieni.

Jakże narodu tego duch był żyzny,
Że nie zjałował, nekany tak srodze!
Bez własnej mowy, tradycyi ojczyzny —
Wszystko to potem znalazł na swej drodze,
W ciszy wiekowej, beznadziejnej, głuchej,
Zbierał ukradkiem swych skarbów okrucy.

Zwolna, wiekami, niby dąb z żołędzi
Rósł i potężniał podobny do dębu;
Ojczystą ziemię zdobywał od piędy,
Ojczysty język budował od zębów,
Urny wydarte z zimnych mogił łonu,
Niósł do pamiątek swoich Panteonu.

Z siła, co dają tylko wielkie bóle,
Wyście tworzyli te dzieła potężne:
Z podziwem na was patrzą wasi króle,
Wsparliży na grobach prawice orężne,
Gdy ich dochodzi w ciszy Wyszegradu
Wieść nieznanego w ich czasach przykładu.

I oto nowa, a jak gród zamczysta,
Staje świątynia narodowej sławy:
Z niej mowa ojców, i z niej pieśń ojczysta
Ma jak nurt wartkiej popłynąć Wełtawy,
Co nieść wiekami będzie na swym grzbiecie
Sławę narodu po szerokim świecie.

Czesi! w cześć Muzom, a na ręce wasze:
Wznoszę ten toast, mieszkaniac daleki:
Ale nie winem napełnicie mi czaszę,
Dajcie mi wody z macierzystej rzeki,
Wszak w niej krew wasza i żyły wasze płyną,
A taki napój cenniejszy nad wino.

Niechże ten nowy Muz czeskich przybytek,
Co się jak Feniks odrodził z zarzewi,
Rozszerza piękno, dobro i pożytek!
Niech czeska sztukę hoduje i krzewi!
A wciąż doznając narodu opieki,
Potężny duchem, późne przetrwa wieki.

Nasza mołytwa.

(Platon Kostecki).

Wo imię Otca i Syna,
To nasza mołytwa:
"Jako Trojca, tak jedyna,
Polszcza, Ruś i Łytwa"!

Świtiat krowiu pobratani
Try rody wełyki,
Jak trójświecznyk na Jordani
U rękach władyki.

Jednakowo tużno, sumno,
Połem piśń ich płynie,
I czeła ich w bólu dumno
Hładiat w nebo syne.

Jednow żyjem my nadijew,
Wspilnaja nam sława,

Wsim zajedno myłyj Kijew,
Wilno i Warszawa.

Jedna w Boha Korolewa
Mołyt sia za namy,
Z Czestochowy, Poczajewa
I z nad Ostroj Bramy.

Wdal krakiwski dzwoniat dzwony
Switom hofos czuty,
Z hrobow klyczut Jahajlony,
Piasty, Korybuty.

Wo imia Otca i Syna,
To nasza mołytwa:
"Jako Trojca, tak jedyna,
Polszcza, Ruś i Łytwa"!

UWAGA. — Ze względu na wielką ważność braterstwa Polaków z Rusinami zasługuje wiersz Kosteckiego na baczną uwagę. Podajemy dostowne tłumaczenie tej modlitwy.

W imię Ojca i Syna — To nasza modlitwa. — Jako Trójca, tak jedyna — Polska, Ruś i Litwa.

Świecą krwią pobratane — Trzy rody wielkie, — Jak trójświecznik podczas Jordanu (*Uroczystość Trzech Króli*) — W rękach władyki.

Jednakowo tęskno, szumno — Połem pieśń ich płynie — I czoła ich w bólu dumne — Patrzą w niebo sine.

Jedną żyjemy nadzieją, — Wspólna nasza sława. — Wszystkim równo miły Kijów, — Wilno i Warszawa.

Jedyna w Bogu Królowa — Modli się za nami — Z Czestochowy, Poczajowa — I z nad Ostrej Bramy.

W dal krakowskie dzwonią dzwony — Po świecie głos się rozlega, — Z grobów wołają Jagielony, — Piasty, Korybuty.

Pieśń łuzyccka.

(Fiedlera).

(Z łuzycckiego tłumaczyła Melania Parczewska).

O ziemio łuzyccka! ojców moich kraju,
Kolebko ty moja, marzeń moich raj,
Tyś wyłączna celem, szczęściem mego życia,
Twoją tylko myślą żyję od powicia.

O ziemio łużycka! matko ty jedyna,
Jakaż świętą miłość wlewasz w serce syna;
Dla ciebie przed śmiercią nie zdejmie go trwoga,
Za tobą zanosi on modły do Boga.

O ziemio łużycka! cichy szmer twej jedynej
Do snu tulił dziecię, szepcząc nad nim modły;
W twoich progach zbiegły dni mojej młodości,
Niczem niezłomnej swobody, radości.

O ziemio łużycka! chociaż twoja dola
Dzisiaj tak sieroca, ciężka jak niewola,
Choć róże powiędły, cierń wszędzie wykwita,
Ja wierzę, że tobie inny dzień zawita.

O ziemio łużycka! w każdej życia chwili
Twoich pól powietrzem oddychać najmilej;
A gdy śmierć nadejdzie, spraw Panie nad pany,
Bym w ziemi łużyckiej mógł być pochowany.

Boże, coś Rosyę.

(Przekład z rosyjskiego).

Boże! coś Rosyę przez tak liczne wieki
Trzymał w ciemnościach na hańbę ludzkości,
Coś jej odmawiał dotąd swej opieki,
Robiąc narzędziem tyranstwa i złości.

Przed Twe ołtarze zanosim błaganie:
Lud ten nieszczęsny racz oświecić Panie!

Daj naszej Rosyi poczucie wolności,
Niech w niej wytępią katowskie jaskinie,
Daj jej poznanie o ludów godności,
Niech z barbarzyństwem despotyzm zaginie!

Przed Twe ołtarze zanosim błaganie:
Ojczyźnie naszej racz dać wolność Panie!

Gdy cała Polska załobą pokryta,
Modlitwą, łzami o swą wolność prosi,
Sółdat krzyż łamie, morduje i chwytą
Lud śpiewający, do fortec unosi.

Przed Twe ołtarze zanosim błaganie:
Tak strasznej zbrodni racz odpuścić Panie!

O! Polsko! Polsko! za twoje cierpienia,
Które mi dręczy rząd dzikiej srogości,
Lud Rosyi błaga Twego przebaczenia,
Boś ty jest dzwignią i jego wolności.

Przed Twe ołtarze zanosim błaganie:
Z podłych służalców oczyść Rosyę Panie!

I myśmy ofiar ponieśli już krocie,
Podobnej Polsce ulegamy doli,
A żyjąc ciągle w hańbie i sromocie,
Dźwigamy jarzmo ohydnej niewoli.

Przed Twe ołtarze zanosim błaganie:
Zbudź synów Rosyi, miłosierny Panie!

Boże wszechmocny! niech ta krew przelana,
Co ją broń nasza z Polski wytoczyła,
Nie na nas spadnie, ale na tyrana,
Którego ręce krew ta pobroczyła.

Przed Twe ołtarze zanosim błaganie:
Krwawe morderstwa Rosyi przebaczyć Panie!

Lud nasz nie pragnie dla zdobyczy boju,
Nie chce już cudzej własności posiadać,
Pragnie swobody używać w spokoju,
Nie chce swych więzów innym ludom wkładać.

Przed Twe ołtarze zanosim błaganie:
Z kajdan niewoli racz nas rozkuć Panie!

Lud Rosyi przeklnie wyrodnego syna,
Co krwią Polaków splami swoje dłonie,
Matki i żony odepchną Kaina,
Który zeszepeci zbrodnią swoje skronie.

Przed Twe ołtarze zanosim błaganie:
Wyrodnym synów nie daj więcej Panie!

Na cześć kapłanów polskich.

W purpurze krwi męczeńskiej wstała Polska zorza,
Miłością wzrosła Polska od morza do morza,
Jej królowie od pługów — a żelazni, wierni
Strzegli mogił granicznych hetmani pancerni;
A niewiasty na straży demowych cnot stały,
A w obronie wiary to już naród cały,
Za przewodem kapłanów, natchnionych i świętych,
Wlazał się w jeden hufiec rycerzy niezgiętych.
Nie zerwała Polska z Chrystusem przymierza
I nie brakło jej nigdy kapłana-rycerza!
Już za czasów Piastowskich gdy zakwitła wiosną,
Tulać się do kościołów, mnożone szkoły rosna,
A biskupi nad stosem pergaminów zgłębi,
Piszą dzieje narodu pokoleń pamięci.

Majestat Jagiellonów kiedy Polskę zdołał,
Któż to ich królewiczów do berła sposobił
Żywota przykładem, przykładami z kronik?
To ojciec dziejów polskich, to Długosz, kanonik!
Potem gdy z wielkością i swobodą dumnie
Począł naród swawolić, nie myśląc o trumnie,
By nawrócić hardego, uchronić od klęski,
Wstaje olbrzym proroczy, ksiądz Skarga Paweżki,
I woła: "Jeśli naród poprawie nie sprostą,
O, czeka go pioruna Bożych gniewów chłosta!"
Więc gdy potem moskiewskiej i tatarskiej dziczcy
Zaczął Polskę naciskać potok najezdniczy,
Ksiądz Birkowski na przedzie mieczem w rękę śmiga
A w drugiej krzyż podnosząc, męstwo hufców dźwiga
A nareszcie gdy w Polsce już słyhać kajdany,
Któż to barskich rycerzy w krwawe wiodąc tany,
Na ambonie z trupów—z czaszek przyszłość czyta?
Oto prosty zakonnik, Marek karmelita.
Wczoraj jeszcze, w rozdarciu już ojczyźnej ziemi,
Gdy takie zamieszanie, jak przy Babel wieży,
Słyhać jako z Wawelu Woronicz Jeremi
Prawi o zmartwychwstaniu, o Polsce macierzy!
O, nie zerwał nasz naród z Chrystusem przymierza,
I nie braknie mu nigdy kapłana-rycerza!
Nie zabraknie nam skrętnych, cichych pracowników,
Nie zabraknie świętego ducha wojowników,
Przed którymi uciekać muszą wszyscy czarci;
Bo oni są o granit przeszłości oparci,
W łasce Bożej chodzący, stróżują ludowi,
Ze Polski nie uwierzy nieprzyjacielowi;
Bo oni wiarą kontusz ze siermięgą spoją,
Bo wciąż na straży wiary i ojczyzny stoją.

Krakowiak

(Narcyzy Żmichowskiej).

ON.

Wezmę świecę i latarnię i główkę z komina,
Pójdę szukać: czy jest w świecie pocziwa dziewczyna.

ONA.

Wezmę księżyc, wezmę gwiazdy, wezmę jasne słońce,
Może znajdę w którym chłopcu serce kochające.

ON.

Toć szukałem i patrzyłem i wiem teraz o tem,
Ze nie znajdzie najpocziwszej, kto nie brzęknie złotem.

ONA.

Toć patrzyłam i świeciłam i dojrzałam tego,
Ze z nich każdy czule kocha, lecz siebie samego.

ON.

Już znalazłem najpocziwszą, znalazłem kochaną,
Piękną, cichą, ale w składzie... lalkę malowaną.

ONA.

Już znalazłam choć jednego, już znalazłam przecie,
Piękną, dzielny wojak młody... na starym portrecie.

ON.

Niechaj lalka malowana tkliwsze zwróci oczy,
To może wojak z portretu na konika skoczy.

ONA.

Niechaj wojak malowany dosiędzie bachmata,
Może w lalce malowanej serce zakolata.

Samarytanka.

(Fr. Waligórski).

Jaż dzień strudzone mruży powieki,
Umilknął boju gwar gdzieś daleki,
I pole bitwy—co śmierć zorała—
Cmentarna cisza owiała.

Ale cóż jeszcze głuszę przerywa?
Czy anioł śmierci nie skończył żniwa—
Czy dzicz zwycięzka, zbierając łupy,
Oprawia rannych i trupy?

To opuszczony w dzikiem ustroniu,
Umiera Krakus przy swoim koniu,
I twarz płonąca tuląc do ziemi
Skarży się usty spiekłami:

"O Panie ogień pierś moją pali;
"Niech się nade mną niebo użali!
"Daj skończyć mękę, lub dla ochłody
"Choć kroplę zeszlił mi wody!

"Jam wiernie służył w Twoim zakonie;
"Wszystko oddaję w Jego obronie!
"I krew serdeczną i raj młodości—
"Litości, Panie, litości!"

Ledwie ostatnie wyjęknął słowo,
Budzi go jakiś szelest nad głową,
I biała postać jawi się w zmroku—
Jak Anioł Boży w obłoku.

“Ktoś ty?!”— “Ach cicho! jestem eyganka;
“Czerpiąc u źródła wody do dzbanka,
“Słyszałam skargę waszą i jęki
“I przysłałam ulżyć wam męki.

“Pijcie! Lecz cicho! bo tam jak katy
“Czycząją wkoło moskiewskie czaty...
“Gdyby dostrzegli—za litość moją
“Zginęlibyśmy oboje”.

Krakus pochwyił dzban w obie dłonie,
Ugasił pożar śmiertelny w łonie,
I iza wdzięczności płacąc za leki,
Usnął spokojnie na wieki.

Dziewczyna kornie zgięła kolana,
Zmówiła pacierz u zwłok młodziana;
A Bóg—co widział ten czyn dziewiczy—
Pewno go w niebie policzy.

Ręka w rękę.

Obrazek współczesny wyczytany z akwareli Tepy.

(Fr. Waligórski).

O cześć tobie, życia wiosno,
Wiekowi szczęścia i swobody!
W tobie tkwią zarody
Cnót, co Bożem tchnieniem rosną
I jak rajskej woni kwiaty
Leją czar na światy!

Pokrzepiona ducha rosa—
Wyroiła się jak pszczoły
Dziatwa z wiejskiej szkoły;
Ten ozuty, a ów boso,
Ten w kubraku—ów w żupanie,
Ot—jak kogo stanie.

Ale któż tam o strój pyta,
Gdzie świat jeszcze serc nie studzi,
Ani dzieli ludzi,
Gdzie myśl zorzą prawdy świta,
A miłości—zdrowe ziarno
Idzie w siew nie marno!

Więc nie radzi też Adasia—
Choć wygląda coś na panka—
Wieśniacza płótnianka;
Bo za szyję wziął Iwasia,
I rówieśni sercem—szkołą—
Patrzą w świat wesoło.

“Wiesz Iwanku: twoja chata—
Choć to ojcowizna droga—
Ciasna i uboga;
Ja cię przyjmę sercem brata,
U mnie znajdziesz chleb, dostatki
I opiekę matki”.

“Eh paniczu, co wam w głowie!
Alboż może Rusin z Lachem
Żyć pod jednym dachem?
Jam chłop zresztą—wy panowie—
Rodzimy się z woli nieba
Do innego chleba”.

“A Bóg z tobą! Jakaż mara
W twoje serce jad ten sączy?
Alboż nas nie łączy
Jeden Bóg i jedna wiara,
Spólne niebo—spólna dola
I ojczysta rola?

“Patrz, na naszym tu cmentarzu
Leżą w zgodzie i równości
Naszych dziadów kości;
A w kościółku przy ołtarzu
Kłęczą matki nasze razem
Przed jednym obrazem.

“Bośmy jednej matki dzieci—
Czy Rusini czy Polacy—
U niej my jednacy;
I pokąd to słońce świeci,
Pokąd bratnia krew w nas płynie—
Matka ta nie zginie”!

“Tak Adasiu!—i ja czuję,
Że to wszystko prawda święta;
Tylko złość przeklęta
Nasze serca fałszem truje
I swą ręką zaślepioną
Krwawi matki łono.

“Lecz dziś precz już z tą zakałą!
Niech nam zgoda zbroi ramię
I braterstwa znamię.—

A do boju staniem śmiało,
I pewno się przed tą zbroją
Wrogi nie ostoją”!

I podali sobie dłonie...
A tam z góry anioł Boży
Radością im wtórzy;—
Bo gdzie zgoda jest w zakonie,
Gdzie sterniczką miłość ludu—
Tam nie braknie cudu.

Dwaj mularze.

Zdarzenie prawdziwe.

(Julian Mitkowski).

W stolicy świata słynnej z powabów i czarów,
W nowym, cudnym Paryżu, nad jednym z bulwarów
Przed może ośmnastu, czy dwudziestu laty,
Budował sobie pałac pewien pan bogaty;
Hojną dłonią grosz sypał i nie szczędził trzosa,
To też mury tak rosły, jakby słyły w niebiosach.

W licznym tłumie czeladzi, która pod nadzorem
Budowniczych władnęła kielnią czy toporem,
Było i dwóch mularzy. Jeden w wieku sile;
(Miał lat dwadzieścia kilka, może i nie tyle)
Rysów pięknych; ze żrenic zacność, prawość biła,
A w postawie widniały: męstwo, zdrowie, siła.

Wołano nań “Andrzeju”... pracował z ochotą,
By zarobić na życie... był na pół sierotą;
Gdyż prócz staruszki matki, ni ojca, ni brata,
Ni krewnych; rzeczby można sam jeden wśród świata.
Na tejsze samej desce, wiszącej w przestrzeni,
Tak wysoko, że patrzeć, to w oczach się mieni,

Stał razem drugi mularz, zwano go Grzegorzem;
Ten znów błogosławieństwem obsypany Bożem,
Miał i matkę i żonę i dzieci siedmioro
I całej tej rodziny musiał być podporą.
U obu w rękach kielnia, na ustach piosenka,
Gdy wtem, o Wielki Boże! watała deska pęka!

Więc obaj swego życia ratując godziny,
Rzucili się do jednej i tej samej liny;
I zawisli w powietrzu, aż im kto z pomocą
Pospieszy... krwawym potem ich czoła się pocą,
Słyszą, jak głucho, lecz straszliwie trzeszczy.

Widzą, jak się rwać włókno po włóknie zaczyna,
I jak w oczy zagłada śmierci wzrok złowieszczy;
“Andrzeju! dwóch się nas tu utrzymać nie zdoła!
Jeden mógłby ocaleć”... Grzegórz z płaczem woła.
“Ach rozumiem” odpowie mu Andrzej w rozpaczy,
“Czuję, że prawdę mówisz... jeden... nie inaczej!

Lecz ja mam matkę starą!”... “Ja rodzinę całą,
Co zmarnieje w nieszczęściu, gdyby mię nie stało”...
“Masz słuszność! Boże Wielki w Twe wszechmocne dłonie”...
Nie domówił... padł na bruk, a czaszka i skronie
Roztrząsały się... i dusza wielka, zacna, święta,
Zerwała doczesności krepujące pęta...

Grzegorza ocalono... podano drabinę,
Po której zszedł, rzucając niegościnną linę.
Dzień był piękny—słoneczko świeciło tak cudnie...
Kompas właśnie oznaczał cieniem przedpołudnie.
Pracę wstrzymali wszyscy, a dzieci lub żony
Znosiły im posiłek w domu przyrządzony.

Przyszła i biedna matka, przywlokła się z chaty,
Niosła skromne dwojaczki, nie wiedząc swej straty,
Aż ujrawszy tłum ludu, krwawe zwłoki syna,
Zachwiała się i padła na nie starowina:
“Andrzeju! Andrzeju najdroższy!” “Nie płaczcie kobieto!
Wasz syn w niebie—za mnie się poświęcił, a przeto

Ja go odtąd zastąpię... podwoję mą pracę,
Ten święty dług wdzięczności wiernie wam wyplacę”.
Grzegórz dotrzymał słowa. Zaraz po pogrzebie
Rozpacząca matkę przygarnął do siebie,
Tak ją czcił i szanował, tak jej boleść słodził,
Że dlań jakby się Andrzej w Grzegorzcu odrodził.

Dotąd jeszcze w pamięci tkwi wspomnienie czynu,
Który był poświęcenia tak szczytnym obrazem,
I który pośmiertnego godniejszy wawrzynu,
Nad waleczność, co bliźnich przeszywa żelazem.

Dziewczę zuch.

(Igor).

Hej, trąbki zabrzmiały!
Gdzie siwy mój koń?
Gdzie kotczan, gdzie strzały,
Gdzie sieczna ma broń?

I chwatów Jaś woła—
Już zbroją się w stal,
Już pędzą przez sioła,
Przez błonia, gdzieś w dal!

Aż cieszy się dusza,
Gdy patrzę na młodź,
Aż serce się wzrusza,
Łza ciśnie do ocz.

Och! dajcież tu zbroję
I mężki mi strój,
Bym poszła na boje.
Gdzie Jaś luby mój!

Już słyszę szcęk broni,
Już pierzcha tam wróg,
Młodź dzielna go goni,
Zwycięstwo dał Bóg!

Och, biedne dziewczyny!
Nie dla was to bój,
Nie dla was wawrzyny,
Jak smutny los mój!

Pamiętaj o mnie.

(Al. Fredro).

Tłomaczone z Musset'a.

Pamiętaj o mnie, gdy jutrzienka skromnie
Słońce na tory wprowadza czyste,
Pamiętaj o mnie, gdy nocy cienie
Zalegną niebo gwieździste,
Kiedy cię serce ciągnie ku zabawie,
Gdy mrok wieczorny wzbudza marzenie,
Głos szemrze skromnie:
Pamiętaj o mnie!

Pamiętaj o mnie, gdy losy świata
Kiedyś rozdzieliła mnie z tobą,
Kiedy wygnanie, smutek i lata
Okryją serce żałobą;
Myśl o mojej miłości i o pożegnaniu,
Kto kocha, nie zna czasu ni przestrzeni
Serce się nigdy nie zmienia,
Przy szczerem kochaniu,
I puka skromnie:
Pamiętaj o mnie!

Pamiętaj o mnie, kiedy pod głazem
Złożę mą głowę żałosną,
Pamiętaj o mnie, gdy na mym grocie
Żałobne kwiaty porosną.
Ja cię nie ujrzę, lecz dusza przy tobie
I z tobą zawsze pozostanie razem.
Słuchaj - w noc głucha
Głos szemrze w ucho
Mile i skromnie:
Pamiętaj o mnie!

Hymn

na przybycie Najprzewiel. ks. Arcybiskupa Floryana dra Stabilewskiego.

(W. Benzeltjerna Engestrom).

Na katedralnych tam wieżyc wyżynie
Dzwon się odezwał — i rozbudził dzwony
Spізowym hymnem — który górą płynie
I w pieśń nastraja — polskich serc miliony; —
A wieść radosną niesie naszej ziemi
Dzwoniąc hosanną — głosy dobranemi —
Temu, co w radość zamienia dni trwogi:
“Witaj nam—witaj—Hospodynie drogi!”...

W tysiączne dzwony — niechaj wieść się złoży—
Ze z krwi i kości naszego narodu
Wstępuje na tron — Pomazaniec Boży!...
Więc w głos organów — w “Te Deum” pochodu—
Tą pieśnią spізów — i hymnem organu —
Spiewamy spodem dziś nowemu Panu —
Temu, co w radość zamienia dni trwogi:
“Witaj nam—witaj—Hospodynie drogi!”...

Dzwony katedry — i wszchedzwonów chóry
Budzą dziś echem dawnych ojców cienie —
Które zstępując — patrzą na nas z góry —
By z nieba jasne — złotych gwiazd promienie!...
Tam święty Wojciech — na pasterskim tronie
W Prymasów polskich jasnym mówi gronie
Temu, co w radość zamienia dni trwogi:
“Witaj nam—witaj—Hospodynie drogi!”...

Tam białe orły — nasze orły białe!
Pieśnią się duchów — do lotu zerwały
I wieńcem w górze krąży okazałe —
Szumiąc w wyżynie wspomnieniami chwaty!...

Prastarym hymnem w Piastowej koronie
 Spiewają Księciu na Wojciechów tronie —
 Temu, co w radość znielenia dni trwogi:
 "Witaj nam—witaj—Hospodynie drogi!"...

Hymnami dzwonów — i pieśni chorałem —
 Marzeń widzeniem — o świetle nadziei —
 Wiary potęgą — serca ideałem —
 Stajem w otwartej kościoła wierzei; —
 I w tryumfalnym dziś wiodąc pochodzie,
 Wołamy Ojcu na pasterskim grodzie —
 Temu, co w radość zamienia dni trwogi:
 "Witaj nam—witaj—Hospodynie drogi!"...

Witaj nam — witaj! — na duchowym tronie —
 We wspólnych uczuć święconem przymierzu —
 We czci i wiary ojczyznej osłonie —
 Witaj nam — witaj! — nasz Arcypasterzu!...
 Tobie dziś Ojczel! — po trudach i znoju —
 Tobie śpiewamy — starą pieśń pokoju —
 Tobie, co w radość zamieniasz dni trwogi:
 "Witaj nam—witaj—Hospodynie drogi!"...

Z poematu "Zakłete dzwony".

A. D. 1795.

(Władysław Betza).

Na Wawelu jęczą dzwony,
 Głośno nasz się "Zygmunt" żali,
 A z wichrami smutne tony
 Po wiślanej płyną fałi.

Stary "Zygmunt" lka jak dziecię...
 Jęki niosą wiatry hyże,
 A z "Zygmuntem" wszystkich w świecie
 Zajęczały dzwonów spiże.

I po ziemi naszej całej
 Huczą dzwony, jak zakłete...
 Nawet ów z Loretu — mały,
 Cicho roni łezki święte,

Hej! kto płaci za podzwonne,
 Że tak kazał grzmieć sownie?
 Hej litewskie i koronne,
 Komu, komu wy dzwonicie?

O! nie pytaj, rzeszo miła,
 Jeno słuchaj, słuchaj szczerzej...
 Oto jedna — patrz mogiła,
 A w mogile Polska leży...

Rozbujane serce w dzwonie
 Wstrząsa duszę dziwną mocą;
 A tam drugie w ludu łonie
 O pierś bije, o sieroca!

Dzwon w niebieskie grzmi podwoje,
 Głośniej ludu serce szlocha,
 I tak serc się ściera dwoje,
 Które silniej Polskę kocha!

Na przemianę — ciszej — śpiewniej,
 Dzwoni żałość ich pobożna,
 Że nie wiedzieć, czy już rzewniej
 Nad ojczyzną płakać można...

Jęczą dzwony — dzwonom śmiechem
 Odkrzykują wtór morderce,
 Aż z ostatniem dzwonów echem,
 "Zygmuntowi" pękło serce.

W koło trumny marmurowej,
 Co pokrywa drogie zwłoki,
 Stoi orszak pogrzebowy
 W ciszy wielkiej i głębokiej.

Smutne "requiem" grzmią organy,
 Serca wszystkie drżą w pokorze...
 Gdzież te czasy, gdy te ściany
 Odbijały: "Ciebie Boże!"?

Gdy tu króle, wodze nasi,
 Po stoczzonej bitwie walnej
 Nieśli wota... a prymasi
 Hymn "Te Deum" tryumfalny?

Gdy tu król nasz, Zygmunt Stary,
 Gdy bywało, dziec przepłoszy,
 Z rąk Tarnowskich brał sztandary
 I na klęczkach hołd Wołoszy?

Gdy tu wieńcząc wielkie dzieło,
 Które burzył mnich niecnota,
 Z pod Grunwaldu nasz Jagiełło
 Sto chorągwi stał na wota?

Gdzież te czasy dawnej chwały?
Gdzie ta królów dań powszednia?
Gdzie te hymny, co tu brzmiały,
Gdy Jan Trzeci wracał z Wiednia?

Wszystko, wszystko pogrzebione...
Jeno czasem w nocną ciszę,
O trofea zawieszono
Pod sklepieniem — wiatr kołysze.

Jeno czasem, gdy mrok pada,
Jęk w Wawelskiej słychać skale,
I duch jakiś błędny gada
O minionej przodków chwale!

Na Górze Lecha.

(Ks. A. K.)

Na starej górze Lecha stoję zadumany,
Słońce twarz mą ostatnim musnęło promieniem,
Marcowy wieczór chłodnym owionął mnie cieniem,
Przedemną się katedry starej piętrzą ściany.

A dwie smukłe wieżycy z godtem Zbawiciela
Ku niebu wznoszą wiekiem obciążone barki,
W kraję zmierzchłych wieków duch uleciał szparki,
Wojciech... Bolesław... Czechy... czarny cień Popiela.

Więc uchyliwszy drogą strudzonego czoła,
Bogarodzico Maryo — szeptałem ze łzami —
Dąbrówko i Jolanto — wszyscy, co do koła

Spoczywacie snem Świętych — módlcie się za nami,
By zesał Pan dla Polski pokoju anioła.
I brać zwaśnioną złączył miłości węzłami.

Na obczyźnie.

(T. L.)

Tak tu róże kwitną cudnie,
Taka niebios twarz wesola!
A mnie w duszy coś wciąż woła:
Wschód piękniejszy, niż południe.
Tak daleko chata znana.
Za tem morzem, za tym krajem,

Świeżym płaskiem wysypana,
Umajona pięknym majem,
Moja chatka, a w niej — Boże!
Zamiast róży — dziewczę hoże,
Zamiast słońca twarz matczyzna,
Zapatrzona w swego syna,
I przyjaciół wierne gronko,
I cienisty dąb przed słońką,
I bez, co się w okno ciśnie,
I ten krzyż za kołowrotem...
Wszystko, jakby naumyślnie,
Zeby człowiek tęsknił potem.

Florenca.

Papuga i wróbel.

(Bajka Konstantego Gaszyńskiego.)

Nie pamiętam w której stronie,
Czy to w Litwie, czy w Koronie,
Dość że w Polsce swego czasu
Narobiło to hałasu;
I daj Boże! by dzieci nasze lub choć wnuki
Skorzystały z tej nauki!

* * *

Za pałacem, wśród ogrodu
Stała ogromna altana,
W siatkę z drutu oplataną,
W niej ptactwo różnego rodzaju,
Które wymieniać rzecz byłaby długa,
Lecz rej wodziła papuga;
Bo w krasne pióra okryta
I z gadulstwa znamienita,
A ztąd najbardziej zuchwała,
Ze kilka słów francuzkich na pamięć umiała
I ciągle je powtarzała.
Dudki, pawie i gawrony
Uwielbiały z wielkim krzykiem,
Ze ród papug tak uczony,
Iż obcym gada językiem.
A ona
Wielką dumą napuszona,
Z żadnym się już w rozmowę nie wdawała ptakiem;
Z jednym tylko szpakiem
Czasem przywitać się raczy;
Bo wiadomo, że bardzo sprytny naród szpaczy.

I ten, słuchając pilnie przez czas długi,
Nauczył się wymawiać kilku słów papugi.

Ztąd łaska i uprzejmości
U owej hardej Imości,
Co śladzisy na pierwszej grzędzie,
Chciała rozkazywać wszędzie.
Wszystkie ptaki
Jaki taki,

Spuściwszy główki na dół i pisać nie śmiały,
Chyba by głosić tylko papugi pochwały.

Wtem wróbel, choć niepozorny z postaci,

Ani z miny,
Ni z czupryny,

Ale szerszy i śmielszy od ptaków swych braci,

Zadarłszy dzióbka do góry,
Rzecz do niej: "Moja pani,
Zkąd te fochy u wasani?

Wyrzekłaś się danego głosu od natury

I z nas jeszcze chcesz tu sztydzić?

I przewodzić nudnym krzykiem,

Papłając cudzym językiem!

Ot, powinnabyś się wstydzić,

Bo to brzydkie są narowy

Zapominać własnej mowy!

Wiem ja dobrze, że słowiki

I skowronki i czyżki

Bardzo piękne mają głosy;

Jednak im nie zazdroścę, ni sarkam na losy

Ale sobie świergoć, jak moi ojcowie,

Szarzy wróblowie —

I nie trzeba mi było obcej mowy wiedzieć,

Aby ci prawdę powiedzieć".

* * *

Miał słuszność wróbel, choć mały i szary;

Oby tylko te słowa z serca wyczerpane,

Nie padły jak groch na ścianę,

I z wiatrem się nie rozwiały!

Znać obcych narodów mowy,

To rzecz arcyżyteczna

I konieczna —

Ale Polak do Polaka

Używać w listach, albo do rozmowy

Obcej mowy —

Wielki to grzech — moda taka.

Godło życia.

(Pieśń Janusza).

Wiernie stanąć u przeszłości,
Jak krew ze krwi, jak kość z kości,
I sumiennie poczcć dzieje,
A w świat przyszły siać miłości,
Ziemie z niebem związać spodem,
Serce z bogiem — myśl z narodem,
Słowem, wzorem iść mu przodem,
I przymierza opleść kołem;
Nie poranić, nie podwoić,
Lecz miłością bóle koić,
Pracą ducha uszlachetnić,
I uwiecznić i uświetnić:
To zadanie zacnej młodzi —
Dla ojczyzny to się godzi...
To zadanie sztuki, śpiewu,
Mężów prawdy i posiewu
Dobrego w ojczyźnie.

Nadzieja.

(R. T.)

Gdy ciemno w życiu, na niebios błękiecie
Świecą trzy gwiazdy jasne, przeźroczyście,
A płynąć w duszę tajemniczo, skrycie,
Mówią o szczęściu, co trwałe i czyste.
Pierwsza, gdy dusza w smutku obumiera,
Gdy serce dręczy boleść i zwątpienie,
Wiedzie do krzyża, gdzie światła zbawienie,
I wiarą w lepszą przyszłość żyz ociera.
Druga, co z jasnych przygląda promieni,
Gwiazda miłości uroczą i świętą,
Z ziemią wiążące gdy rozkuje pęta,
W rozkosz najśrodsze cierpienie zamieni.
Gdy smętne w koło wysełasz spojrzanie,
Trzecia pociechą siły twoje krzepi:
"Ufać, że kiedyś będzie sercu lepiej!"
I w duszę wlewa nowych łask strumienie,
I ulgę znajdziesz w słodkiej z nią rozmowie:
Ta trzecia gwiazda nadzieją się zowie.
Ufać mi zawsze, chociaż grom uderzy,
Odrzucaj trwogę, ja czuwam za ciebie,
Szczęśliw, kto kocha i ufa i wierzy,
W co ufał, wierzył, to ukocha w niebie.



SPIS RZECZY.

I. POEZYJE RELIGIJNE.

	Str.
Hymn do Boga. <i>Ks. Paweł Woronicz</i>	3
Psalm do Patronów Polskich. <i>Gabryela Żmichowska</i>	4
Modlitwa kmieci. <i>Wł. Anczyk</i>	5
Hymn na dzień Zwiastowania NPMaryi. <i>A. Mickiewicz</i>	6
Hymn do Bogarodzicy. <i>J. Słowacki</i>	7
Psalm dobrej woli. <i>Z. Krasiński</i>	8
Do Anioła Stróża. <i>T. Lenartowicz</i>	9
O wielkość Boga. <i>Jan Kochanowski</i>	9
Modlitwa do Boga. <i>J. Słowacki</i>	10
Kolenda. <i>Wł. Syrokomla</i>	11
Krówka Jaremy. <i>Ks. J. Hołowiński</i>	11
Wiarę ojców cześć należy. <i>R. Berwiński</i>	13
Szanujcie dzień święty. <i>K. Brodziński</i>	14
Modlitwa za polskie dziewice. <i>Wł. Betza</i>	14
Pan Jezus chodził po świecie. <i>Asnyk</i>	15
Grosz wdowi. <i>St. Jachowicz</i>	16

II. POEZYJE PATRYOTYCZNE.

Wiersz Krasickiego o miłości Ojczyzny, który każdy Polak na pamięć umieć powinien.....	17
Giermek. <i>Fr. Morawski</i>	17
Garść ziemi. <i>Kr.</i>	21
Pogrzeb Kościuszki. <i>K. Ujejski</i>	22
Katedra na Wawelu. <i>E. Wasilewski</i>	24
Polskiemu dziecku. <i>M. Sokolnicka</i>	27
Reguły staropolskie. <i>W. Pol.</i>	28
Walka z Moskalami. <i>A. Mickiewicz</i>	29
Kulik. <i>J. Słowacki</i>	31
Czemu, mistrzu, masz słiznę. <i>Z. Krasiński</i>	33
Odpowiedź <i>K. Koźmiana</i>	34
Do Tatrów. <i>W. Pol.</i>	34
Gopło. <i>Deotyma</i>	35
Co to jest Ojczyzna! <i>A. Krasicki</i>	36
Wisła. <i>Fr. Morawski</i>	37
Przez pieśń do czynów. <i>Józef Kościelski</i>	38
Szłąk moja Ojczyzna. <i>Czesław Lubiński</i>	39
Głos z wygnania. <i>Seweryna Duchńska</i>	40
Somo-Sierra. <i>A. Górecki</i>	41
Śmierć zdrajcy Ojczyzny. <i>A. Górecki</i>	42
Dom Polski. <i>Józef Kościelski</i>	44
Królowa Jadwiga. <i>S. Duchńska</i>	45
Syn do matki. <i>Agn. Baranowska</i>	46



Arch. Emigracji
Biblioteka

Główna
UMK Toruń

1393226

Biblioteka Główna UMK



300003335989